

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

W SIECI.

Nad półmilionową rzeszą naszych pracowników rachunku, korespondencji i techniki w przemyśle, handlu, a pośrednio i nad bracią pracującą w biurach rolniczych już od paru miesięcy wisi chmura oszczerstw i złej wiary pracodawców oraz obłudy „opinji publicznej.”

Kto się nie broni, ten się do winy przyznaje, mawiali Rzymianie, ufni we wzorową organizację swych sądów, wytworzonych wiekami ku obronie słabych: — qui tacet consentire videtur. Orzeczenie to, zupełnie słuszne w zastosowaniu ograniczonem co do osób i miejsca, nieuctwo, lekkomyślność i, co za tem idzie, zła wola zamieniły w pewnik, dogmatycznie twierdzący, iż ten właśnie winien, kto wobec zarzutów — słusznych czy potwarczych — milczy.

Ta okoliczność zmusza mię do jęcia się obrony krzywdzonych fachowców, a obrona polegać będzie na wyjaśnieniu, w jaki sposób i w jakim celu tworzy się u nas z łatwością obelżywy sąd o całym odłamie społeczeństwa i kto z tych mętów opinji zyski wylawia. Jeśli w tej sprawie jest co przypadkowego, to chyba obrona niniejsza; reszta powiązana jest z sobą ze spoistością skutków i przyczyn.

Ile razy w Warszawie redaktorzy pism, do kliki należących, zanurzają się w błocie społecznem, zawsze obok nich pływa *Kraj* petersburski. I w tej sprawie znalazł się na stanowisku i, jak zwykle, czelniej od kolegów zawyrokował, że Królestwu nie tylko nie brak ekonomicznego rozwoju, lub jakiegos potrzebego doń warunku, lecz owszem choruje ono na zbytek dobrobytu ekonomicznego (ob. *Kraj*, Nr. 13). Za dowód dostatecznie słuszny i poważny posłużyła tym razem reklama pewnego kantoru warszawskiego stręczenia pracy. Kantory podobne znane są powszechnie z wprawy isticie amerykańskiej w poławianiu klientów między naiwnemi wieśniakami i przybyszami z dalszych prowincji, żadnych pracy za jakąbądź cenę.

A takimi poszukiwaczami chleba zapełnione są wszystkie kąty zarówno w Królestwie, jak

w sąsiednich i oddalonych gubernjach. Gwałtowne przeobrażenie kraju odwiecznie rolniczego, który dotąd nie zdołał jeszcze uporać się z trzypółówką, w ustrój przemysłowo - mieszczański wyrzuciło bezpośrednio z borów i zaścianków folwarcznych na bruk miast wielkich tysiące poszukiwaczy chleba suchego, obiadów tanich, jakiegokolwiek zapłaty za pracę rąk i głowy. Chodniki zatłoczone zostały ludźmi o krzaczastych wąsiskach i naiwnym wzroku jeleni leśnych, ze czeią religijną wpijających oczy w lada bibulę zadrukowaną. Ten to obfity żer w postaci skazanych na zagładę społeczną jednostek, przynęcił na ucztę życia i utuczył kilkadziesiąt kruków, w postaci szefów biur i kantorów komisowych z pozorami domów bankierskich, szefów, przeobrażonych ze zwykłych stręczycieli „złotych interesów.”

Redakcja *Kraju* petersburskiego rzuca w oczy czytelnikom, iż jedno tylko biuro stręczeń w ciągu roku ubiegłego miało do zaoferowania 2.000 posad, kandydatów zaś odpowiednich zgłosiło się jakoby tak mało, że obsadzić można było jako tako mniej, niż połowę stanowisk. Na bruku Warszawy, mówi się dalej, „wałęsa się masa poszukiwaczy synekur, stanowisk, byle jeszcze czas pewien przeproznować,” ale do pracy zyskowej, nawet lekkiej, nie dadzą się ci ludzie zapędzić. Tak świadczy *Kraj*, lecz istota rzeczy ma się wcale inaczej.

Kto tylko osobiście lub listownie zwraca się do biura stręczeń, pierwsze pytanie, jakie szef zadaje, brzmi:

— A czy masz pan kaucję?

— Proszę pana, pocóż tu kaucja? Poszukuję posady buchaltera, korespondenta: pocóż tu kaucja?

— A, to trudno! Taki zwyczaj.

— Mam długoletnią praktykę, najlepsze świadectwa, prozę przejrzyć.

— Tak? To dobrze, ale kaucja!

— A więc, przez pana nie mogę dostać posady?

— To trudno, bardzo trudno. Gdyby kaucja .. Zresztą, zapisz się pan i zapłać wpisowe; zobaczmy?

— Kiedyż to może być: za kilka miesięcy?

— Tak, mniej więcej.

— Może za rok?

Prawdopodobnie; postaraj się pan o kaucję.

Nie zdążył jeszcze ów poszukiwacz chleba skończyć z procedurą opłacania wpisowego, gdy zjawia się w kantorze i wpada w sieć zastawioną „ryba pożądana,” z kaucją. Ton rozmowy i jej tempo wnet się zmieniają.

— Ile pan może złożyć kaucji?

— Na razie 4 do 5 tysięcy rubli.

— A, to jest u mnie dla pana dobrodzieja dobra posada buchaltera: 100 rubli miesięcznie, procent od przedsiębiorstwa i, ma się rozumieć, procent od kapitału.

— Ale ja nie mam świadectw służbowych...

— A, to nic nie szkodzi! Czy kaucję może pan dobrodzieju złożyć w gotówce?

— Tak jest. Ale zwracam uwagę, że mało znam się na buchalterji, bo...

— To nic nie szkodzi, to nic nie szkodzi! — przerywa szef biura, aby zatkać usta zbyt szczerą — Praca mała. Co będzie potrzeba, wskaże panu dobrodziejowi sam pryncypał. To zdolny człowiek, uprzejmy, przyjacielski, można powiedzieć..

Tej treści, w tym tonie toczy się rozmowa. Pełna różowych nadziei „ryba” składa do rąk szefa zgóry 100 r., tj. miesięczne honorarium od spodziewanej pensji, 5% od całej sumy 5.000 kaucji i wpisowe, czyli razem 352 r.; płaci rejentowi za akt notarialny z przyszłym pryncypałem, składa do rąk ostatniego gotowych 5.000 r. i zaraz w pierwszym miesiącu doznaje rozczarowania.

Pryncypał nie tylko jest grzecznym, ale staje się poufnyim swego urzędnika powiernikiem, w czym dzielnie pomaga małżonka szefa, osoba inteligentna (z patentem) i postępową, lecz co do wypłaty pensji, stosunek staje się twardym. Szef upewnia, że interesy jego zachwiały się chwilowo, co w przedsiębiorstwach zdarza się często; wkrótce kryzys przeminie, a wówczas panowie oficjaliści otrzymają wszystko, co im się należy. „Proszę wierzyć — mówi — iż jestem człowiekiem uczciwym i nikt na mnie nie płakał; sumienie mi nieczyjej krzywdy nie wyrzuca.”

Wreszcie niepłatny oddawna urzędnik, zdumiony czelnością pryncypała, udaje się do wątpliwej wartości moralnej adwokata i znajduje w nim wysokie współczucie i oburzenie. Umówiwszy się o honorarium, doradca przychodzi do wniosku, iż naprzód widzieć się musi z pryncypałem. Po tem widzeniu się, obrońca ostyga w zapale, przebąkuje o cierpliwości, wyrozumieniu i porozumieniu, wreszcie wyraża „głębokie przekonanie,” iż drogą przymusu sądowego nie można sprawy załatwić, albowiem nie sposób z pustego nalewać. Potrzeba czekać, kryzys minie. „Bo przecież mnie chodzi o to, abyś pan dostał pieniądze, a nie papier sądowy, którego nie można zrealizować.”

— Ależ, panie kochany, sam pan wiesz z licznych przykładów, iż ten specjalista wypłaca tylko tym wierzytelom, którzy właśnie z papierem sądowym i komornikiem stawiają się w jego mieszkaniu.

— No tak, ale w tym razie nie da się to zastosować: zbyt wielka suma... Wreszcie takie moje zdanie, iż gdy sam pryncypał się wyratuje, to i was wszystkich wyratuje. Nie przeszkadzajcie mu, nie gadajcie nawet na miśnie, miejcie cierpliwość. Ja sam mu radzę, by co tylko ma pieniędzy, wkładał w przedsiębiorstwo, a gdy sam się wyratuje, to i was wyratuje.

I tak w kółko. Biedne „ryby,” ogłuszone „zdrowemi radami,” wyczerpane ostatecznie z zapasów pieniężnych i przedmiotów, przydatnych na zastaw lombardowy, wyrzucane z mieszkań za niepłacenie komornego, muszą wróżyć sobie przyszłość z uśmiechu pryncypała, lub z usposobienia godnej jego połowicy.

Znam takie przedsiębiorstwo w Warszawie, które szefowie założyli, mając całego zapasu pięć palców i język obrotny; a jednak od lat pięciu przeszło istnieją szczęśliwie, korzystają z kredytu w bankach, u bankierów i zwykłych lichwiarzy, opłacają procenta i egzekucje sądowe (po kilka na miesiąc) do rąk komorników, wydają na utrzymanie domu więcej, niż po 5.000 r. rocznie, a wszystko to pochodzi z drobnych kaucji oficjalistów i sług, bo u takiego przedsiębiorcy nawet kucharka (autentyczna!) składa 1.000 r. kaucji.

Ale na progu XX wieku nawet tak dobrze zorganizowane procedury doznają chwilowego zastoju, zwanego kryzysem. Więc i owa organizacja naganiania fachowców z kaucjami doświadczyła tego także i ogłosiła komunikat o braku fachowców. Bolesnie to odczuły organy opinii: *Gazeta Polska* (Nr. 32) i *Słowo* (Nr. 67), godząc swym językiem w samo serce p. Piltza (*Kraj* Nr. 13). To też dały te pisma upust żalom w artykułach wstępnych, starając się rozgłosić od Warszawy do Władystoku, Merwu i Tyflisu, wszędzie, gdzie tylko oszczędności zaczęły się gromadzić w kieszeniach rodaków: Nuże, ryby leniwe, do sieci!

Dzienniki owe powołały się przytem na do roczne sprawozdanie „Tow. wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych m. Warszawy.” Towarzystwo to, będące organem już nie prywatnej spekulacji, świadczyć ma, zdaniem powyższych dzienników, iż fachowcy nasi ubiegają się tylko o synekury, ale pracy nawet lekkiej nie znoszą. Za dowód służyć ma fakt, iż subjecki nie byli w stanie obsadzić wielu posad, płatnych po półtora i dwa tysiące rubli rocznie. Zamierzano tutaj o jednej okoliczności, iż Tow. Subjektów rozdaje posady wyłącznie swoim członkom, a zbiera dla nich posady nie tylko w kraju, ale daleko poza jego kresami. Więc nie świadczy to, że kraj ma więcej chleba, niż gąb, więcej pracy, niż pracowników, lecz tylko o tem, że członkowie Tow. Subjektów przeładowani są posadami. Nie dziwi nas, że trzy redakcje dopuściły się oszukaństwa względem opinii publicznej, lecz dlaczego zarząd Towarzystwa przemilczał to nadużycie jego powagi? Czyżby myślał wciągać do swych bilansów i takiego rodzaju zyski? Więc tylko ten jest fachowcem i człowiekiem pracowitym, kto należy do Towarzystwa? Poza Towarzystwem zaś są tylko niezdary i synekurzyści?

Nie po raz pierwszy dostrzegamy kolizję interesów Tow. Subjektów z korzyściami społeczeństwa, którego dorobek spożywa z wyłącznym zyskiem swych członków, lecz kolizja powyższa każe zwrócić baczniejszą uwagę na tę swego rodzaju instytucję „samopomocy,” opartą na dobroczynności ludzkiej i zebraniu.

Towarzystwo, oparte na podobnych zasadach, rozwija w członkach ducha wzajemnej adoracji, sobkowstwa i sybarytyzmu. Rozporządzając łatwością gromadzenia znacznych kapitałów na rzecz całego ogółu pracowników fachowych, Tow. świadczy dobrodziejstwa tylko pewnej garstce. Nie zdołało nawet wejść na tę drogę, którą kroczy Towarzystwo oficjalistów we Lwowie, które w ubogiej Galicji zdołało zgromadzić setki tysięcy guldenów i zorganizować istotnie szeroką pomoc dla całego ogółu pracowników w kraju.

Sprawa to zbyt poważna, by ją można było wyczerpać, potrącając o nią przygodnie; zacytujmy tylko kilka następów z ustawy Towarzystwa, by poprzeć zarzuty powyższe. Środki Towarzystwa powstają z ofiar, na korzyść Tow. czynionych i z wpływów przypadkowych (§ 4, d); z różnych wpływów przypadkowych na bieżące wydatki (§ 6); z darowizn i legatów, nie mających ściśle określonego przeznaczenia (§ 7); z darowizn i legatów, mających przeznaczenie ściśle określone (§ 8); członkowie honorowi i protektorowie nie doznają żadnej pomocy, lecz obowiązani są do składek w stopniu wyższym (§§ 13 — 17).

Pytamy, czy Tow., które tak energicznie szturmuje do dobroczynności publicznej, ma prawo mianowania się towarzystwem *wzajemnej* pomocy? Drugi lat dziesiątek istnienia Tow. odpowiada stanowczo: nie, środki z tych źródeł płynące górują nad środkami istotnej samopomocy stowarzyszonych. Czytelnik może zapytać, któż

więc korzysta z podobnych „środków?” Zapewne starcy, emeryci, ludzie niezdolni do pracy? Bynajmniej ustawa zastrzega, iż „członkiem Tow. może być osoba nie młodsza od lat 17 i nie starsza od lat 50;” każdemu, kto przekroczył lat 50 nie wolno wstąpić do Tow., a Towarzystwu nie wolno zbywającej posady zaofirować pracownikowi obcemu, chociażby przewyższał fachowem uzdolnieniem wszystkich jego członków. Przecież kierownictwo przedsiębiorstwem bardziej złożonem wymaga wielkiego doświadczenia, które częstokroć posiadać może człowiek dopiero po 50 latach życia; ustawa Tow. starsze siły fachowe pozostawia na uboczu, więc i ci także figurują w oskarżeniach prasy, jako próżniacy i łowcy synekur.

To potulne przemileczanie ze strony Tow. w chwili składanych mu holdów, na które najzupełniej nie zasłużyło, tem bardziej zastanawia, iż, jak widać z wystąpienia p. Ludwika Grendyszyńskiego (*Kur. War.* nr. 127), Tow. obfituje w członków z ambicją nader drażliwą. Jako członek Tow., p. G. skruszył kopję w obronie przywileju na zabawy różnych Fikalskich Towarzystwa, znanego odławna w Warszawie z nadprodukcji tego rodzaju fachowców.

Stosunek Fikalskich do moralności lub niemożności społecznej — wyznajemy otwarcie — pozostaje dla nas najzupełniej niezrozumiałym: jeśli głowa lekka, nogi też ją lekko nosić będą, a więc fikać jest ich prawem przyrodzonem i w obronie tego przywileju członków Tow. i ja też gotów jestem skruszyć kopję, byleby mi do ręki wpadła. Nie byłoby więc racji wspominać tutaj o wysiłku autora „w obronie stowarzyszenia,” gdyby nie kilka cyfr ciekawych i charakterystycznych rozumowań autora o zasługach instytucji.

— NOC. —

DRAMAT W JEDNYM AKCIE.

(Dokończenie).

SCENA III.

KAZIMIERZ (*siadając za stołem*). Emilka, obiad! (*Marysia i Emilka idą do komina*) No, a ty, moja pociecho, żywa?

TEKLA. Boże miłosierny! zmiłuj się nad nami grzesznymi.

KAZIMIERZ. He? (*śmiejąc się*) Jakoś mi ci chawo pieje moja ta gęś dychawa. (*Emilka położyła mu rękę*)

ADAMOWA. A toć dalibyscie choćby przez dziś odpoczynek kobiecie. — Książdz z Panem Bogiem był, a wy dokuczacie i dokuczacie... Tać to i mnie z wami wytrzymać nie można, a co dopiero chorej kobiecie?

KAZIMIERZ (*jedząc*). No, no! — Zatrzymajcie się, kumol! — A to jedzie!

ADAMOWA. Ot, widno urodziliście się już w taką godzinę (*wychodząc*). Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

TEKLA (*stępując*). Emilko... Emilko... Wsadźno mnie na łóżko... (*Emilka podchodzi i wsadza*) Ołoboga!...

KAZIMIERZ. Co?! Wsadzać ją będziesz?! A dajno ze dwadzieścia kijów, to ją djabli piorunem wniosą na barłóg!

TEKLA. Ha, ty, psie zażarty!... Gryzłeś mnie przez całe życie, do grobu wpędziłeś i jeszcze teraz spokojnie zamrzeć nie dajesz! O, tyś podlejszy od psa wściekłego! Tyś!...

EMILKA (*otulając*). Uspokójcie się, matko! Nie słuchajcie, to i oćciec zaprzestanie.

KAZIMIERZ. A toś się rozgadała, moja ty panienko?!... Cha, cha, cha! — No, piej, — piej, pociecho!

TEKLA. Ty — ty, zbójku nikiemny! — Dobijaj, dobijaj! Ale pamiętaj, podły Herodzie, — tego ci nigdy pan Bóg nie daruje, choćbym nawet ja ci darowała...

KAZIMIERZ. E, to — widno — ciebie, panienko ty moja, ładnie w pałacu adukowali!... Pan Bóg niby tak samo dobry, jak twój panicz, — za dobre karze, a za złe nagradza — co?!

TEKLA (*stępując*). O, Matko miłosierna, ulituj się nademną!

Z naiwnych jego wyznań widać, iż Tow. w praktyce i poczuciu członków oddawna zatarło granicę między samopomocą a zebranią. Autor zalicza do zasług Tow., iż każdy zamożniejszy, *nie potrzebujący pomocy* (sic) członek korzysta bezpłatnie z pomocy lekarzy (i zapewne, aptek?), opłacanych z kasy Towarzystwa, jak również z ustępstw rabatowych przy kupnie *wszelkich* towarów, korzysta także bez zastawu z czytelnicy, mającej już kilka tysięcy tomów... Na cele podobnie wyrozumowanej „wzajemnej pomocy” towarzystwo wydaje aż 12.000 rs. rocznie, a składki wynoszą zaledwie 6 rs. rocznie, co, jak wyznaje sam autor, nie wystarczy nawet na opłatę czytelnicy, a więc i owa „wzajemna pomoc” płynie z ofiarowanych przez społeczeństwo składek. Operując w ten sposób groszem publicznym, stowarzyszenie handlowców chrześcijańskich przysporzyło „około 38 tysięcy rubli kapitałów rezerwowych,” właściwie nadmiaru środków; 6.000 rs. złożyło na budowę domów, 18 tysięcy trzyma na wiecznych, rozumie się, pożyczkach członków itp.

Nie wyczerpaliliśmy faktów i cyfr „obroncy stowarzyszenia;” nie chcemy zaglądać do Pamiętnika z dziewięciu lat istnienia stowarzyszenia, bo jego dane, nie wyświetlone dokumentami i zapisami w oryginale, służą tylko do wniosków, z istotą rzeczy zupełnie niezgodnych. Dosyć tych faktów, by godnie ocenić wartość społeczną towarzystwa handlowców chrześcijańskich i zapytać siebie: co z tem począć? Po latach jedenastu tolerancji zapóźno dla społeczeństwa upominać się o swoją krzywdę; trzeba tylko głośno i skutecznie zawołać: dosyć już raz tego! Uporządkujcie swoje istnienie! Wady waszej ustawy i praktyki są zrozumiałe; zawiązaliście się w stowarzyszenie w owych latach, kiedy się wydawało, iż większy kapitał ujrzy i w takim zespoleniu sił dla sie-

bie groźbę. Pokazało się jednak, iż wasi pryncypałowicie chętnie pomoc wam okazali i okazują. Upewniwszy się więc o swój byt i przyszłość, należy ustawę jedynie do celów użyteczności całego społeczeństwa przystosować i stosowne zmiany wyjednać. A zanim ta procedura drogę swą przebieży, należy zaprzestać żywienia się „rabatami,” lecz otworzyć cały szereg sklepów, gdzie z obniżonych cen na towarach mogliby korzystać nie tylko członkowie stowarzyszenia, ale całe społeczeństwo; podobnie uprzystępnienie należy pomoc lekarską, aptekarską itp. A nadewszystko założyć zaraz przy zarządzie stowarzyszenia spółkę fachowców z ludzi, nie należących do stowarzyszenia, zwaną w kodeksie „artielą,” gdzieby fachowcy, ze składek małych wytworzyli kapitał wzajemnej odpowiedzialności za siebie. Takiej spółce należy ustępować zbywające dla członków posady. W ten tylko sposób stowarzyszenie obroni swą cześć i zatrze piętno pasorzytnictwa.

Pan Gr. nawet i to zapisuje do zasług stowarzyszenia, iż w ciągu lat jedenastu dostarczyło swym członkom zaledwie 848 posad. Żaden kantor komisowy w Warszawie nie mógłby istnieć z następczenia 80 posad na rok..

W artykule niniejszym musieliśmy potrącić o wiele stron życia, mało znanych szerszej publiczności. Streszczając myśl główną, powiemy, iż w kraju nie tylko niema nadmiaru pracy, ale istnieje ciągle odpływ fachowców, nawet na zachód w poszukiwaniu pracy. Ci nawet, co mają protekcję dyrektorów banków, ludzie z uniwersyteckimi dyplomami muszą szukać przez parę lat posady z pensją tysiąca rubli. Znam przykłady, że dawni mieszkańcy Warszawy, mający w mieście stosunki (aptekarze, lekarze), umieszczają swych krewnych na posadach 30 — 40 rublowych, polegających na 10 godzinnej pracy

KAZIMIERZ. Cha, cha, cha!... To tak cię tam adukowali? — No, gęgaj, gęgaj, moja ty gąsko dychawa!

TEKLA. Ha, zbójcu najpodlejszy!

FRANKA. Kazimierzul!

TEKLA (*jęcząc*). Czyż się Bóg nie ulituje i nie zesle jakiej zarazy na grzeszne jego cielsko?!

EMILKA. Ot, nie widaliście! Ociec gada, aby gadać. Czy mu to pierwszozna?

FRANKA (*przez okno*). Kazimierzul!... Kaziul!

KAZIMIERZ. A co ci tam trzeba?

FRANKA. Ja do Jankla idę?

KAZIMIERZ. No, to idź.

FRANKA. Et, rzućcie miszkę i chodźcie, bo, jak nie, to ja pójdę sama.

KAZIMIERZ. No, to idź, głupia.

TEKLA. Otulno tu—po nogach.

FRANKA. Chodźcie, Kaziu, a żywo—mam wam coś powiedzieć. (*Kazimierz podchodzi do okna, ta mu szepcze*).

EMILKA (*kończąc otulanie*). A teraz wam dobrze?

KAZIMIERZ. Zaraz, niechno zjem obiad (*odchodzi do stołu i je*).

TEKLA. Poprawno mi trochę poduszkę (*Emilka poprawia*).

KAZIMIERZ. Emilka, dawaj jeść! — A ty, dychawico gnij!—Emilka, żywo!

TEKLA. A daj mu tam, daj, Emilko (*Emilka bierze ze stołu miszkę i niesie do komina*).

KAZIMIERZ. Cha, cha, cha!... Wygody ci się zachciewa, obsługi!... Robiłaś wygodę twojemu paniczowi, a teraz co?—Idź do niego, i niech ci da, co obiecywał, to będziesz miała wygodę... No, idź do niego! Cha, cha, cha!...

TEKLA (*jęcząc*). Ha, zbójcu najpodlejszy!... Szydź, szydź teraz i dobij; ale pamiętaj—po nocach chodzić będę po śmierci... ślepiów nie zamkniesz do białego ranka. Przyodzievek z cielska zdziierać ci będę!... o... och!... (*pauza*).

EMILKA (*stawiając na stół miszkę*). Macie i choć dziś nie bluźnijcie! (*odchodzi do łóżka*).

KAZIMIERZ (*stłumionem głosem*). No, no! moje ty pańskie dziecko (*je pośpiesznie*).

TEKLA. Boże sprawiedliwy! Tyle lat cierpiałam za grzechy moje bez wytechnienia — czyż one jeszcze nie zmazane?! Okaż, Panie, przebaczenie swoje i daj mnie, pokutnicy, choć śmierć spokojną!

FRANKA. Kaziu,—no, idziecie.

KAZIMIERZ (*jedząc*). Czekał, zaraz!

(za rogatkami miasta). Sknerstwo i rutyna w uposażeniu pracowników nigdzie tak wytrwale się nie trzyma, jak właśnie po biurach. Nadmiar rąk stały.

Obok tego i niezależnie od opisanych prądów, przemysłowy i handlowy rozwój kraju wytworzył wyteżoną gonitwę za kapitalikami drobnymi dla przedsiębiorstw niezasobnych. Wietrzący wiatr geszefciarze usiłują łączyć te dążności i wylawiają grosz oszczędzony pod pozorem następczenia zarobku. Dość ogłosić w kurjerku, iż jest do odstąpienia posada sturublowa za złożeniem kaucji czy wkładu kilku tysięcy rubli, by w ciągu doby stawilo się 50 i więcej poszukiwaczy środków życia, ofiarujących żądane kapitaliki. Połów ten, wymagający wielkiej reklamy, przybrał takie rozmiary, iż wciągnął do współdziałania niemal całą prasę codzienną. Potrzeba całej energii opinji publicznej, potrzeba wtrącenia się sądów i wymierzenia przykładowej kary, by zuchwalstwo oszustwa powściągnąć.

D. S.

Czem jest wychowanie

ze stanowiska wiedzy społecznej.

(Dokończenie).

Myślenie, rozważane ze stanowiska biologicznego, nie stanowi bynajmniej zamkniętego w sobie procesu, lecz jest tylko częścią aktu życia, którego początek znajdujemy w czuciu, a koniec w działaniu. Czuć, myśleć i działać—oto trzy nierozdzielne ogniwa w łańcuchu zjawisk psychofizycznych. Każde z tych ogniw, z osobna wzięte, nie ma dla życia żadnej wartości, treścią

bowiem jego jest oddziaływanie na otoczenie, i to pod każdym względem, zarówno fizjologicznym, kulturalnym, jak i społecznym. Dla istoty przeto żyjącej ważnem jest nie czucie i nie myślenie, lecz tylko działanie. Ponieważ zaś to ostatnie u wyższych ustrojów, jak człowiek, nie jest możebne bez uprzedniego odczuwania i wynikającej stąd świadomości, to pierwsze obie części psychofizycznego procesu należy uważać za początek, bez którego wszelki akt zeszedłby na najniższy stopień odruchów. A cóż widzimy w rzeczywistości? Oto właśnie ludzie niepraktyczni, zamykający myśli swoje lub uczucia przed zewnętrznym światem, niezaradni i bezczynni znajdują się wiecznie w jednej fazie życia; oni zawsze przebywają początek aktu psychofizycznego, jak gdyby się mieli z poczwarki w motyla zamienić, a dopiero po tem przeobrażeniu wziąć się do czynu. Jeżeli tacy robią cokolwiek, to odruchowo, bezmyślnie, bo inaczej nie mogliby istnieć, bo są do tego zwyczajem wciągnięci.

Jakąż radę podaje na to pedagogika nowoczesna? Opierając się na doświadczeniu codziennego życia oraz na wskazaniach psychologii czynu, wymaga ona żeby z rozwojem myśli i uczuć odbywał się ile można równolegle rozwój działalności. Najpewniejszymi do tego środkami są 1) Udział wychowanców w pracy rodziny i domowników, w pomocy wzajemnej dla bliższych i dalszych osób; 2) praca ręczna w zakresie rolnictwa, lub rzemiosła. Co do drugiego środka, to nie idzie tu bynajmniej o nauczanie się jakiegoś fachu—są na to szkoły zawodowe; praca ręczna, zwłaszcza bardziej złożona, jak w gospodarstwie wiejskiem, w stolarstwie, ślusarstwie itp. pożyteczną jest ze względów pedagogicznych. Pomijając już tę nader ważną okoliczność,

FRANKA. Wy dzisiaj to i wiecie, co czekają i czekają... Dokielaż mi czekać? Jak muzycyści pójdą?

KAZIMIERZ. Franka, nie przekomarzajno się!

FRANKA. Ano dobrze—to odejdę.—A wy tu ceckajcie się ze starą waszą babą (odchodząc) Cha, cha, cha! (pauza).

KAZIMIERZ (podniegając do okna). Franka!.. Franusia!.. (Emilka przechodzi do komina).

FRANKA. No? alboście się namyślili, albo nie?

KAZIMIERZ (siadając). Słuchaj, Franka!.. Głodnym, jak pies,—zjem obiad i pójdę.—Chodźno do izby, to cię żaden chłopak nie zaczepi.

FRANKA. Do izby? A już!

KAZIMIERZ. No, choć żywól nie marudź!

FRANKA. Nie głupiam.—Znów mnie wywalą miotłą i wyrzucą za drzwi.

KAZIMIERZ. Kto?! kiedy?!

FRANKA. A no dziś, przed waszem przyjściem.

KAZIMIERZ. Kto?!

FRANKA. Kto?—Tać wszyscy, nawet ta czarownica Adamowa.

KAZIMIERZ (rzucając się). A wy pasibrzuchy!.. (Tekla jęczy, Emilka chwytając ceberek z wodą, Marysia chowa się za łóżko.) A ja was tu ukamienuję... Skórę z was zedre!..

EMILKA. A no, probujcie!

KAZIMIERZ (oglądając się po izbie). A wy?! Tak?! (Muzyka umilkła).

TEKLA. Bij, zabij, psie wściekły!

FRANKA. A wasza to co raz podjudzała.. bijcie, a bijcie..

KAZIMIERZ. A, trupie, ja ci tu zaraz dam!

TEKLA (jęcząc). Naże, zabijaj!—czego czekasz, zbójcu plugawym!—Ale pamiętaj!—co noc będziesz mnie widział przed sobą... ślepiów ci nie dam zamknąć do białego ranka... przyodziewek z cieliska zdzierać będę... No, po co stoisz?—dobijaj! (pauza).

KAZIMIERZ (rzucając na nią lżykę). A niech cię siarczyste pioruny dobijają—ty, stary trupie! (Rzucając się do wyjścia.) Cholery na ciebie, dychawico! (drzwi zostawia otwarte).

TEKLA (padając bezwładnie). Boże sprawiedliwy, daj mi już—ach, daj mi śmierć najrychlejszą! (stęka coraz wolniej—Marysia i Emilka w pozach poprzednich, pauza).

SCENA IV.

ADAMOWA (za sceną). Adam, zaniesz-no wie-przacom.. Ja zaraz przyjdę. (wchodząc). Niech będzie pochwalony... A co to u was? (ogląda się).

że zajęcie się takie przy zachowaniu pewnej miary znakomicie wpływa na rozwój fizyczny młodzieży, zauważamy, iż umysł znajduje przy robocie ręcznej bardzo szerokie pole do kształcenia się, zmysły nabierają wprawę. Charakter ćwiczy się w wytrwałości, systematyczności, zdobywa się poczucie własnej siły i to niezmiernie ważne przyzwyczajenie, że czynności nasze powinny do określonego celu prowadzić. Praca ręczna, dostarczając milej rozrywki, wprowadza jednocześnie w dziedzinę realnych stosunków ciał i zjawisk, których poznanie stanowi nie mniej ważną naukę, niż ta, co się z teorii zdobywa. Jedna bowiem uzupełnia drugą, a każda z osobna wytwarza albo niepraktycznych teoretyków, albo bezmyślnych zawodowców. Ktoby sądził, że zasada podziału pracy w ucywilizowanym społeczeństwie wymaga, iżby ludzie wyłącznie swój zawód znali, obcemi zaś nie zaprzęтали sobie głowy i czasu, t.j. że teoretycy powinni mieć swoją dziedzinę nauki i działalności, praktycy zaś swoją, to wywodom takim przeczą stanowczo fakty życia. Podział pracy sprowadza istotnie rozłam w działalności ludzkiej: jedni myślą, inni myślą te w czyn wprowadzają. Ale przyjrzyjmy się zblizka, czyje to myśli zastosowuje się w życiu i kto je stosuje. Przecież nie fantastyczna gra wyobraźni, lecz wiedza, na realnym gruncie oparta i praktyką sprawdzona, staje się ciałem teorii. Żaden myśliciel w oderwaniu od życia płodnej nie stworzył teorii. Jeżeli się zdarzali filozofowie i uczeni, którzy jedynie myśleniem dokonali przewrotów w nauce i tym sposobem przyczynili się pośrednio do zmian w praktyce, to były wielkie umysły i całkiem nauce oddane. Trudno nawet, aby ludzie, poświęcający się wyłącznie rozszerzaniu wiedzy, praktyczne posiadali wykształcenie; ale

nie zapominajmy, że to są wyjątkowi uczeni i gienjusze. Poza nimi zaś wszyscy teoretycy rozwinąć muszą wysoko znajomość praktyczną rzeczy, inaczej bowiem teorie ich pozostałyby w sferze pustych słów. Tak samo, jak teoretyk myśli dla praktycznych celów życia, znając jego wymagania, tak również ten, kto wiedzę w czyn chce wprowadzić, znać musi dokładnie teorię swej sztuki. Zasada więc podziału pracy nie może z jednego człowieka zrobić maszynki do myślenia, z drugiego — do czynu. Widzimy właśnie że tam, gdzie praca przybiera charakter czysto mechaniczny, tam rola i dola robotnika do zwykłego sprowadza się narzędzia, tam przestaje on być człowiekiem, automatyczna jego czynność zastępowana bywa machiną. Zresztą przypuścić nawet niepodobna, aby kiedykolwiek podział pracy doprowadził jednych do wyłącznej uprawy myśli, zaś innych do bezmyślnego działania. Rozwój bowiem psychofizyczny odbywa się normalnie przy równoległej uprawie uczucia, myśli i działalności. Opierając się na tem prawie biologicznem, wychowanie nowoczesne domaga się praktycznego kształcenia młodzieży tak ze względu na potrzebę radzenia sobie w życiu, jak i z wyżej wskazanych powodów psychologicznych.

Zobaczmy teraz, jakie zadanie stawia pedagogika dzisiejsza co do metody nauczania. I tu, również jak i w poprzedniej części niniejszego szkicu, ważniejsze tylko i bardziej ogólne kwestje poruszyć możemy.

Najważniejszym warunkiem, aby udzielane wiadomości korzystać umysłowi przyniosły, jest ich pamiętanie. Metoda więc nauczania przedewszystkiem stosować się powinna do tych okoliczności, które pamięci najbardziej sprzyjają. Kiedy niedawno jeszcze uważano pamięć za

EMILKA (*stawiając ceberek*) Nic... ot, jak to ociec.

ADAMOWA. Jezusie Nazareński!... Takie wrzaski, taki tartas — piekło, jakby, nieprzymierzając, w kazaniu księdza wikarego.

MARYSIA (*wysuwając głowę zza łóżka*) Emilka?... a czy ociec nie przyjdzie?

ADAMOWA. Boże Miłosierny!... I niby był u spowiedzi świętej!... I niby to przyobiecał pokutę za grzechy!... Tać to człowiek opętany przez złego ducha... pewnością opętany... Bo gdzie to? — Słychane to rzeczy robić tyle piekła w chahupie, przy chorej, gdzie nawet ksiądz z Panem Bogiem był przed chwilą? O Jezusie Nazareński!..

EMILKA (*placząc*) O Boże, Boże, ulituj się nad nami (*Marysia powoli wylazi zza łóżka*).

ADAMOWA. Yt... nie płacz! — Bogu-ć je tam polecieć!.. A jak tam matka? (*podchodzi do łóżka i nachyla się nad chorą*) Śpi... to i dobrze — niech tam choć snem się pokrzepi (*pauza*) Oj, kiepsko, bo kiepsko z waszą matką (*Emilka, stojąc przy łóżku, płacze pocichu, zakrywając twarz fartuchem, Marysia smutno patrzy na Emilkę; Adamowa podjeżdża z ziemi łyskę i sprząta ze stołu, poczem wychodząc*) Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

EMILKA. Na wieki wieków. Amen. (*Z karczmą dochodzą dźwięki szalonego oberka*).

TEKLA (*po pauzie poruszysz się, stęka*) Oj podnieście mnie!... (*Emilka podnosi*) A pamiętaj, Emilka... po śmierci... włożyć mi kramną spódnice... tę, co schowaną... (*Emilka głośniejsz płacze*) i kaftan tamten... (*stęka*).

EMILKA. Po co wy, matko, tak gadacie? tać nie koniec?

TEKLA (*cichym głosem*). Oj, koniec, moje dziecko, koniec... Niech się już dzieje wola boska, niech już nadejdzie odpocznienie.

EMILKA (*szlochając*) O, ja nieszczęsna... nieszczęsna!... Co z nami będzie, co będzie, matulenko ty moja!...

TEKLA (*coraz cichszym głosem*). Pójdiesz do dziedzica, jak wróci... Pokłoń się odemnie... Powiedz, żem zmarła... Chahupa i grunt — wasze... On, dając, tak gadał... Nie dać temu psowi... O... och!... (*stękając, pada na poduszkę, dziewczętu przez cały ciąg płacząc; słychać głośniejszą muzykę*)

EMILKA. Oj, dolaż nasza, dola nieszczęsna! (*pauza, Tekla coraz wolniej oddycha*) Ale wy nas, matko, nie opuście — nie opuście jedyniusieńkie (*pauza*)

szczególnej i odrębnej władzę, mniemano powszechnie, że ją tak samo przez ćwiczenie rozwijać można, jak się wzmacnia tym sposobem siłę ręki, lub nogi. Można istotnie władzę mięśni spotęgować przez ich częste używanie, takie samo jednak traktowanie pamięci do poważnych prowadzi nadużyć. Dawniejsza metoda nauczania, wychodząc z tego założenia, usiłowała jak najwięcej dostarczać roboty dla pamięci. Słówka, wiersze, prawidła i wyjątki gramatyczne, cyfry, cytaty i rozmaitego rodzaju ułamki myśli ludzkiej trzeba było powtarzać i powtarzać w wyobraźni, aby ją zmusić ostatecznie do przyjmowania wszelkiego materiału, jaki do niej wejdzie. Wyobrażano więc sobie, że gdzieś na dnie duszy spoczywa w uśpieniu cudowna zdolność, pamięcią zwana, że ją za pomocą tak zwanego „kucia“ obudzić można i przyzwyczaić do przechowywania jakiegokolwiek materiału dla myśli. Lecz zmieniły się czasy, psychologja wykazała, że wogólności *materiał* w procesie umysłowym nie istnieje zgoła, że pojęcie to uważać można jedynie za symboliczny wyraz zjawisk psychicznych, które w rzeczywistości nie zawierają żadnych materiałów i żadnych czynników do ich obrobienia. Istnieje poprostu *zmiana* wrażeń i wyobrażeń, ich różnicowanie i kojarzenie się dzięki podobieństwom i kontrastom; nazywamy proces ten myśleniem i, prócz zmian w nim zachodzących, nie więcej dostrzec nie możemy. Pamiętanie jest wznawianiem się wyobrażeń. Odtwarzają się one z tego samego powodu, co i wszystkie procesy duchowe, tj. przy pewnem ich pobudzeniu. Bódcem zaś, wywołującym reakcję umysłową, może być albo przyczyna zewnętrzna, albo wewnętrzna, tak np. myśl moją wywołać może widok jakiegoś przedmiotu (pobudka zewnętrzna), albo też jakaś inna myśl mo-

ja (pobudka wewnętrzna). Wiemy jednak z doświadczenia, że na przedmioty całkiem obce patrzeć można, lecz ich nie widzieć, a tem samem i nie z ich powodu nie myśleć. Wiemy również, że jakaś, dajmy na to, sentencja moralna może się nigdy w głowie dziecka nie wznowić, jeżeli dlań była całkiem nowa, niezrozumiała. Otóż z takich i wielu innych postrzeżeń widać, że wyobrażenia mogą się wznawiać wtedy jedynie, kiedy istnieje zewnętrzna lub wewnętrzna pobudka, tj. taka podnieta, która dla danej umysłowości obcą nie jest, która na nią działać może. Przedmiot, pobudzający do odtworzenia myśli, powinien być w jakimkolwiek do niej stosunku, potrzebna tu pewna styczność, pewna ich zależność. Im więcej dany umysł posiada wiadomości uporządkowanych, ze sobą zespolonych, im lepiej skojarzone są w każdej myśli poszczególne jej części, tem jest łatwiej przy pobudzaniu jednego jakiegoś wyobrażenia, poruszyć szereg innych i odtworzyć to, co było właśnie do zapamiętania. Okolicznością więc najbardziej sprzyjającą pamięci jest jak największa współzależność myśli. Łatwość zapamiętania czegoś zależy przede wszystkim od łatwości skojarzenia danego przedmiotu z szeregiem przyswojonych wiadomości. Zdolność odtwarzania (przyswojonych) wyobrażeń zależy od stopnia pobudliwości umysłu na bodźce zewnętrzne lub wewnętrzne; pobudliwość zaś wzrasta ze ścisłością oraz ilością skojarzeń myślowych, a także zależnie od stosunku, jaki istnieje między bodźcem a daną umysłowością.

Opierając się na tych zasadniczych faktach, metoda nauczania wielkiej ulega zmianie. Wiadomości nie udzielają się za pomocą bezmyślnego powtarzania, lecz przez zastosowanie szczegółów wiedzy do pojęć ogólniejszych i dobrze

MARYSIA (*głośniejsz płacząc*). Nie opuściecie.. nie opuściecie, matulu?... (*przysuwa się do matki*).

EMILKA. Oj, nieszczęsnaż dola, nieszczęsna! (*Pauza. — Z karczmy dochodzą głośniejsze dźwięki oberka, słychać stłumione wrzaski tańczących*).

MARYSIA (*stłumionym głosem*) Matulu!.. Matulu!..

EMILKA. Cicho siedź, Marysia, matka śpi. (*pauza*).

MARYSIA. A po co matula tak śpi?

EMILKA. Ano widno, tak już wieku dosypia (*pauza*).

MARYSIA (*wspinając się na łóżko*). Matulu.. matulu!..

EMILKA (*wstrzymując ją*) Marysia, siedź cicho!..

MARYSIA. Matulu,.. matulu!..

EMILKA. Marysia!..

MARYSIA (*zaglądając w twarz matki*). A po co matula nie gada?... Matulu... Matulu?..

EMILKA (*wstrzymując Marysię, zagląda w twarz matki*) Matko!.. (*porusza za ramię*) Matko!.. (*poruszają obie*) Matko!..

MARYSIA (*z głośnym płaczem*). Matulu!.. obudźcie się (*porusza ją mocniej*) Matulu!.. Matulu!..

EMILKA (*odwracając się od łóżka*) Oj, nieszczęsnaż godzina, nieszczęsna!.. (*biegnie do drzwi*) Adamowo!..

Adamowo!.. (*wraca, zalamując ręce*) Oj, dolaż, dola nieszczęsna!.. (*obie płaczą, pauza*).

MARYSIA (*pochylona nad Teklą*). A po co matula taka błąda?

ADAMOWA (*wbiegając pośpiesznie*) Niech będzie pochwalony... A co to takiego?

EMILKA (*zanosząc się od płaczu*) Oj, Adamowo, Adamowo!.. Toć matka już nie gada!

MARYSIA. Nie gada matula—nie gada (*patrząc na Emilkę, płacze*).

ADAMOWA (*nachylając się nad łóżkiem*) Kazimierzowa!.. Kazimierzowa!.. Kumo!.. (*porusza ją*) Kumo! (*pauza*) Marysia, lećno po ojca... tam u Jankla... a chyżo! (*Marysia wybiega*) Oj, nie dobrze tu jakoś... nie dobrze...

EMILKA (*lkając*) Matko... Matko!.. co z wami?

ADAMOWA (*nasłuchując oddechu*). Chyba to koniec.. ono niechybnie... Zapalno, Emilka, gromnicę!

EMILKA (*rozglądając się*). Kiedy niema.

ADAMOWA. To leć do mnie a żywo!—Tam... za Matką Boską,—lećno!

EMILKA (*wychodząc*). Boże Miłosierny, ulituj się...

ADAMOWA (*nasłuchując oddechu*). Hm, trup.. (*dotyka się ręki*) pewnikiem trup. (*Obejrzawszy się po*

przyswojonych. Wszelkie drobne fakty, nazwy, cyfry pamiętają się z łatwością, jeżeli jako części składowe wplecione są do całej, logicznie zbudowanej, a dla umysłu przystępnej myśli. W praktyce wychowawczej udzielanie wiedzy porównać można z czynnością tkacza, gdyż duchowym nabytkiem ucznia pozostaje to tylko, co do kanwy jego wyobrażeń wplecionem niejako zostało; nabytek zaś ten tem trwalszym się okazuje, im więcej nić nowych myśli całą kanwę przedzierzga. Dla utrwalenia przeto szczegółów w pamięci należy je dość często w rozmaitych skojarzeniach powtarzać, aby tym sposobem znaleźć w umyśle więcej stycznych punktów do wszechstronnego zespolenia udzielanej wiadomości z istniejącą już wiedzą ucznia. Nie tylko wnosząc z praktyki innych, lecz i na podstawie własnego doświadczenia zapewnić mogę, że zastosowanie tej metody w nauczaniu do świetnych prowadzi rezultatów. Uczeń nie zna znużenia pamięci, przyswaja znacznie więcej, niż posługujący się „kuciem” lekcji, zapomina stosunkowo bardzo mało, wiadomości raz przyswojone rozumie i może je samodzielnie i w rozmaity sposób stosować. Nabyte taką drogą nawet drobne szczegóły nie stanowią już zbytecznego balastu, bo wchodzą w skład myśli i pewną tam odgrywają rolę. Przytem nauka przestaje dla dziecka być nudną i męczącą, gdyż każdy niemal szczegół ma dlań pewne znaczenie, uzupełnia lub wyjaśnia poprzednie wiadomości. Nauczyciel nie pastwi się już nad swym wychowancem, bo widzi go z rozpromienionem obliczem, z tą pogodą ducha, której naprózno byśmy szukali wśród męczenników dawniejszej metody.

Następnie bardzo ważnem, jakkolwiek niezupełnie nowem wymaganiem dzisiejszej metody, jest tak zwane nauczanie koncentryczne. Polega

ono głównie na tem, aby ile można cały widnokrąg umysłowy dziecka rozszerzał się w miarę przybywania wiadomości, aby plan nauki dał się ułożyć, że tak powiem, w kołach współśrodkowych, nie zaś, jak było dawniej i jak się teraz zwykle praktykuje, w jednym lub kilku promieniach duchowego widnokręgu ucznia. Nie zagłębiając się w szczegóły tej reformy—mniej więcej znanej wśród wychowawców—nadmienię tylko, że jest ona ze wszech miar pożądaną, gdyż najlepiej odpowiada przyrodzonym skłonnościom człowieka do poznawania wszystkiego, co go otacza. Warunki życia sprawiają właśnie, że umysł nie może się zatrzymywać stale nad jednym lub kilku przedmiotami, lecz dąży do ogarnięcia wszystkich dostępnych dziedzin. Czyż można bezkarnie przykuwać myśl dziecka do form językowych, do rachunku, opisów ziemi, kiedy zmysły dostarczają mu co chwila tysiące daleko ciekawszych wrażeń, a życie na każdym kroku zadaje ważniejsze pytania, niż gramatyka, rachunek lub geografja? Na te wszystkie pytania nie daje się żadnych, albo tylko dorywcze odpowiedzi, to też po latach kilku próżnego kołatania do rodzonej świątyni wiedzy, dziecko się zniechęca, traci wrażliwość na swe otoczenie, a te kilka przedmiotów, które usiłują mu do głowy wtłoczyć, zohydżają w jego pojęciach naukę. Młody umysł żądał najgoręcej poznania, ciekawość zdawała się nie posiadać granic, lecz skoro jego nauka żadnemu z tych żądań nie czyni zadość, traci odrazu swój powab i staje się narzędziem fizycznych i moralnych katuszy. Metoda koncentryczna, wprowadzając w nauczanie większą ilość i różnorodność przedmiotów, nietylko zaspakaja ciekawość dziecka, nietylko uprzyjemnia mu naukę, lecz nadto zbliża poznawane przedmioty ze sobą, wiąże obce ze znanem,

izbie, rzuca okiem na garderobę Tekli i zdejmując samodzielną spódnice, kaftan i dużą chustkę).

EMILKA (*wbiegając*). Znalazłam, Adamowo!

ADAMOWA (*zwijając w kłębek rzeczy*). Zapalno żywo! (*Emilka zapala i niesie ku łóżku*). To matka mi dała na pamiątkę... pocziwa kuma... (*Emilka bezmyślnie spogląda na zawiniątko i oddaje gronnicę Adamowej, ta wkłada ją w bezwładną rękę Tekli; pauza, płacz Emilki*).

MARYSIA (*wbiegając*). Gadałam.. zaraz ocieć idzie (*staje koło łóżka*).

ADAMOWA. Jezusie Nazareński! — nijakiej siły... A toć nieboszczka nie może utrzymać gronnicy nawet (*dziewczyzny płaczą, pauza*).

SCENA V.

KAZIMIERZ (*stając we drzwiach pijany*). No, chodź, głupia!

FRANKA (*za drzwiami*). Nie pójde... boję się!

KAZIMIERZ (*ciągnąc ją za rękę*). Powiadam ci, Franka, chodź! (*Adamowa, Emilka i Marysia patrzą z ośmupniem*).

FRANKA (*opierając się*). Kaziu, nie chcę... Kaziuniu, boję się!

KAZIMIERZ (*wciągając ją na środek izby*). Co się głupia boisz? Toć pewnie zmarła.

ADAMOWA (*żegnając się*). W imię Ojca i Syna i Ducha... A wy co to robicie, Kazimierzu?!

FRANKA (*wyrrywając się*). Kaziu, ja się boję! — puśćcie!

ADAMOWA. A toć wasza kobieta jeszcze nie ostygła!

FRANKA. Puśćcie... ona jeszcze nastraszy? (*Musyka w karczmie powoli zamilka*).

KAZIMIERZ. Głupiaś, Franka! Tać mnie samego nastraszy; ze mnie—gadała—przyodziewek zedrze!

FRANKA (*wyrrywając się mocniej*). Oj, ja tu nie wytrzymam!... puśćcie... puśćcie...

KAZIMIERZ (*objęwszy ją za talę przyciąga do siebie*). Franka nie bądź głupia!... Słuchaj, pójdzem do alkierza.—Nam dwojgu nic nie będzie (*prowadzi ją, ona się słabiej opiera*). Toć chce mnie jeno straszyc... o tobie nie gadała, a przy tobie i mnie nic nie robi—chodź!

ADAMOWA. O, zgrozo, zgrozo!... (*w oknie świt*)

FRANKA. Ale, Kaziu, ksiądz rozgrzeszenia nie da przed ślubem.

KAZIMIERZ (*otwierając nogą drzwi alkierza*). Co tam!.. Dobrze mu się zapłaci—to da!

ADAMOWA. Jezus, Marja, Józef!

dalsze z bliższem, zawile z prostszem. A jest to rzeczą wielkiej doniosłości, gdyż takim właśnie sposobem wprowadza się *równomierność* w wykształceniu umysłowem oraz ułatwia pamiętanie dzięki spójni logicznej i wzajemnemu wspieraniu się przedmiotów.

Zgodnie z wymaganiami życia z jednej strony, a psychologii z drugiej, dzisiejsza metoda (nauczania) powinna więcej uwzględnić syntetyczną drogę poznania. Przewaga analizy w pracy umysłowej do nader smutnych doprowadziła już skutków. Skalpelem krytyki i rozbioru rozdlubano niemal wszystko, co się ówiartować dało. Niepowołani otrzymali po tej operacji mnóstwo drzazg i strzępów, z którymi nie wiedzą, co począć. Setki mechanizmów rozebrano na drobne części, przekonano się o ich nikłości lub niezdatności, lecz ani lepszych nie przygotowano, ani z nich samych ponownie nie złożono. I siedzą nad tem dziełem rozkładu analitycy znękani, trawieni niechęcią do życia, w przyszłość nieufni, bo nie umiejąc nic zbudować, nie mogą się wznieść duchem ponad gruzы jednostronnej swej wyobraźni. Pedagogika społeczna, pragnąc od tej niemocy ochronić przyszłe pokolenia, żąda, iżby równolegle z wykształceniem analitycznem uprawiana była synteza. Odzywają się, co prawda, pojedyncze głosy, twierdząc, jakoby nauczanie średnie powinno być analitycznem, a synteza panować ma w wyższem, lecz opinie te nie wytrzymują krytyki. Dalszy rozbiór tej kwestji, jako zbyt specjalnej, pozostawiamy na stronie, przechodząc teraz do wniosków ogólnych.

Przedstawione tu w streszczeniu ważniejsze podstawy i wymagania pedagogiki dzisiejszej w zakresie fizycznego i umysłowego wykształcenia rzucają zaledwie blade światło na dokonane w nauce tej postępy i na olbrzymią doniosłość

wychowania. Umiejętność kształcenia ciała i ducha wspiera się obecnie na podstawach naukowych; zdobycze wszystkich umiejętności znajdują tu pośrednie lub bezpośrednie zastosowanie i, chociaż wychowawca dużo jeszcze błędów popełniać musi, chociaż teorie jego i wskazówki wiele zawierają braków, a nie jedna da się w przyszłości zmienić lub odrzucić, jednak nie ulega najmniejszej wątpliwości, że już dzisiejszy stan wiedzy pozwala rozwijać zdrowych, dzielnych, umysłowo i moralnie wykształconych ludzi, zdolnych do pracy nad polepszeniem dołi społecznej. Jeżeli wychowanie do najszczytniejszych wznosi się celów, jeżeli jego dziełem ma być odrodzenie ludzkości przez uzdolnienie pokoleń do świadomej a wytrwałej pracy, do objęcia myślą ideałów wszechludzkich, do ukochania dobra ogólnego, to czyż poznanie odnośnych nauk i szczere oddanie się wychowaniu nie jest najwięszkiem i najzaszczytniejszem zadaniem? Obecne warunki ekonomiczne zmuszają znaczną część kobiet do szukania nowych dróg pracy, nowych zawodów, lecz prądy emancypacji nie mogą cofnąć naturalnego biegu wypadków, nie mogą matce odjąć tej wychowawczego wpływu. Dopóki między matką a dzieckiem istnieje pewien biologiczny stosunek, dopóki ona roztacza nad niem, swą pieczę, dopóty ścisły związek psychiczny między nimi istnieć nie przestanie i dopóty serce dziecka w macierzyńskiem zagrzewać się będzie uczuciu, a młoda myśl w jej umysłowości rozwijać. Czyżby więc wobec tego faktu, który ani zaprzeczyć, ani usunąć się nie da, mogły żądać niewiasty, aby młode pokolenia na pastwę losu rzucone zostały? Aby je ktokolwiek i jakkolwiek wychowywał? Czyż ogół kobiet mógłby się spodziewać, że się znajdzie dla nich na ziemi tak użyteczna i zaszczytna dzia-

FRANKA (z alkierza). Oj, Kaziu, ja się boję! (chce się wydostać).

KAZIMIERZ (wstrzymując ją). Głupiaś!... drzwi zamknę na skobel... nie wejdzie! (zwracając się do dzieci) Bachury! (wskazując na łóżko) pilnować mi przez całą noc! (Franka wyrpua się i ucieka) Franka!... (wybiegając za nią) Franka!... Franka!... (pauza).

SCENA VI.

ADAMOWA (Emilka i Marysia płaczą) O, zgrozo, zgrozo!... Tać to Sodoma i Gomora!

EMILKA. Bachury?!

ADAMOWA (wyciągając ręce do obrazu). O, Matko Przenajświętsza, przyczyn się za nami grzesznemi! (pauza) Zabiore (zdejmując obraz), tu Boga niema... tu siedzi piekło, rozpusta! (kładzie go pod pachę na zawiniątko).

EMILKA. Bachury?!

ADAMOWA. O, poczeiwa wy, Kazimierzowo... dobra, wy, moja kumo...

EMILKA. Ha, niedoczekanie waszel... Niech-no tylko dziedzie przyjedzie — ja pokażę, co to bachury!

(Zoddali płyną przeciągle dźwięki dzwonu: przez otwartą okno przedostaje się coraz głośniejszy szczebiot zbudzonego ptactwa).

ADAMOWA (krzając się po izbie, spogląda w okno, dźwięk dzwonu). Oloboga! toćto już dnieje (szepcze) Anioł pański zwiastował Pannie Marji...

EMILKA. Ha, niedoczekanie waszel... (zasuwa drzwi).

MARYSIA. A ociec jak się dostanie do izby? (Adamowa klęka przy łóżku Tekli).

EMILKA. Do izby on się ju niedostanie — niechaj, i zgnije jak pies, pod płotem!

ADAMOWA (półgłosem). Za duszę ś. p. Tekli... Emilka i Marysia (spojrzawszy na Adamową, klękają) Za duszę ś. p. Tekli... wieczne odpocznienie racz jej dać Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci... (w oknie — jasno).

ZASŁONA SPADA.

WACŁAW RACZYŃSKI.

lalność, która pokryje szkody spaczonoego wychowania ich dzieci? Gdyby nawet na żądanie emancypantek rozwarły się wrota niebieskie i spadł na ziemię deszcz najśłodszych darów bożych, to zwyrodniała bez wychowania młodzież, ogłupiona i zdemoralizowana, nie dałaby jednego grosza za taki owoc emancypacji. Jeżeli emancypantom idzie o pozyskanie obywatelstwa, o niesienie usług społeczeństwu, to jakaż droga skuteczniejszą będzie, niż przygotowanie dobrych obywateli, a może i reformatorów społecznych? Ale nauka wychowania takiej treści i na takich zasadach, jak się obecnie w świetle wiedzy przedstawia, ważną jest i ciekawą nie tylko dla kobiet i wychowawców, lecz dla każdego bez wyjątku człowieka. Nie jest bowiem dziś ona zbiorem nudnych przepisów i komunałów, lecz mniej lub więcej zwięzłym systematem zastosowań nauki nowoczesnej do harmonijnego rozwijania istoty ludzkiej, doskonalenia myśli i uczuć, do wyćwiczenia działalności dla najwyższego dobra społecznego. Ktokolwiek interesuje się rozwojem życia społeczeństwa, dziejami umysłowego i moralnego postępu, dla tego nie mogą być obojętne wpływy, paraliżujące ten postęp, lub zbliżające nas do lepszego jutra. Żeby poznać i ocenić te wpływy, trzeba zajrzeć do wnętrza człowieka, rozejrzeć się w warunkach jego fizycznego i duchowego rozwoju, poznać okoliczności sprzyjające i przeszkadzające doskonaleniu się jednostki. Takie zaś poznanie człowieka i warunków jego rozwoju nie jest możliwe bez znajomości nauk wychowawczych. Przedmiot ten staje się jeszcze ważniejszym i ciekawszym dla tych, co żywy biorą udział w pracy zbiorowej, ponieważ im przedewszystkiem idzie o to, aby świadomość najszersze ogarniała koła, energia zaś do najskuteczniejszego prowadziła czynu.

Nakoniec wszyscy, którzy pragną wykształcenie swe uzupełnić, rozszerzyć zakres swych wiadomości, sprostować wady charakteru, rozwinąć i pogłębić uczucia, słowem ci wszyscy, co tęsknią do życia wyższego, lepszego, znajdują w pedagogice niewyczerpaną kopalnię rad i wskazówek. Bez nich ciężką i błędną jest droga samopomocy w tym celu, z niemi zaś samokształcenie staje się najwdzięczniejszą pracą, a duchowych jej rozkoszy żadne znikome dobrodziejstwa nie zastąpią.

Wobec wielkich postępów nauki wychowania i wobec jej niezmierniej dla społeczeństwa doniosłości, dziwić się z żalem należy, iż tak mało dotychczas pozyskała adeptów. Lecz nauka ta wznosi najwyższej pochodnię oświaty, miejmy więc nadzieję, że jej promienie najdalej przenikną, a wówczas zbuduje się dźwignia, która świat na nowe pchnie tory.

S. KARPOWICZ.

POWIEŚCI WIEJSKIE SEWERA¹⁾

I.

Wśród beletrystów naszych doby dzisiejszej Sewer (Ig. Maciejowski) niewątpliwie wyróżnia się ruchliwością twórczą. Ruchliwość ta polega nie tylko na płodności talentu, ale też i na wielkiej różnaitości przedmiotów, ku którym się zwraca. Jakichże spraw i stosunków nie dotykał Sewer w swych utworach! Życie ludu wiejskiego, z wielu stron rozpatrywane, obowiązki sfer inteligentnych względem niego, sprawy ziemianstwa, przemysł, kwestja żydowska, świat artystyczny, wreszcie sprawy, dotyczące już nie odrębnych jakichś warstw i grup społecznych, lecz szczególniejszych osobistości: wszystko to objęła twórczość Sewera, garnąc zewsząd fakty i szczegóły życia prawdziwego i barwnego.

Nie mamy zamiaru przedstawiania całej tej różnorodnej twórczości Sewera; chodzi nam przede wszystkim o jedną jej część, naszym zdaniem świadczącą najchlubniej o jego talencie pisarskim—o jego powieści ludowe.

Nie odmawiamy wartości artystycznej utworom Sewera, osnutym na tle innych sfer społecznych, lecz tego rodzaju powieści pisze się u nas dzisiaj wiele, takich zaś, jak jego powieści ludowe, mało spotykamy. Najpiękniejsze i najistotniejsze cechy talentu Sewera występują w całej pełni w jego powieściach ludowych; gdzieindziej znajdujemy dość często szablon, zmyślenie, pozbawione prostoty, jakąś wymuszoność i przeciętność. Zwróćmy się tedy do rzeczy sympatycznych i wyżej pod względem artyzmu stojących.

Sewer tak samo jak, Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa i wielu innych naszych powieściopisarzy, zaczął odtwarzać stosunki wiejskie wkrótce po uwłaszczeniu włościan, w chwili, kiedy zaczęto głośniej mówić o pracy dla ludu, kiedy na dół włościanstwa zwrócono baczniejszą uwagę, a duszy chłopskiej zaczęto przypatrywać się uważniej i o jej potrzebach goręcej rozprawić.

Z początku beletryści usilowali rozniecić budzące się wśród ogółu współczucie dla ludu, działając głównie na wrażliwość czytelników, kreślili tedy obrazy nędznej doli ludowej, przedstawiali zgubne skutki jego ciemnoty, odtwarzali sceny wyzysku, któremu w nowych warunkach istnienia podlegał, lub też odsłaniali poetyczne, pociągające strony jego ducha i bytu. Roztkliwiano czytelnika i... zbywano niekiedy zdawkowym demokratyzmem („Szkice Węgłem“ nawet pomimo całej ich niezrównanej piękności, mieszczą w sobie wiele takiego demokratyzmu). Dopiero Prus we wspaniałym utworze postawił chłopa na „placówce“ i kazał mu być czemś więcej, niż istotą, wyciskającą nam łzy z oczu,

¹⁾ *Biedronie*, powieść. Petersburg 1896; *Nowele*. Lwów 1895; *Przybłądy*, powieść. Warszawa 1894 i in.

przedmiotem zachwytów i uniesień, zbiornikiem ukrytych skarbów poezji, albo głupek i bydlęciami.

Sewer roztkliwiał także serca czytelników obrazami życia wiejskiego, pokazując lud w oświeceniu, budzącem dlań współczucie, sympatię, podziw nawet. Ale odrazu począł robić to w sposób sobie właściwy, unikając z wielkiem umiarkowaniem i taktem sentymentalizmu i efektów melodramatycznych. Używał częściej barw łagodnych, miękkich, chociaż wyraźnych, niż jaskrawych, krzyzących. Pesymistą beznadziejnym, jak np. autor „Bartka z wycieczki”, nie był; brutalności późniejszych naturalistów w guscie Dygasińskiego także nie hołdował: słowem krańcowości unikał. Rozczarowania z powodu ludu nie doznawał, lecz także nie patrzył na niego przez różowe szkielka doktrynera i optymisty. Dla ludu miał dużo serca, i dużo żywił wiary w jego życie i pracę, lecz nie powierzał mu wyłącznie spraw doniosłości ogólnej, a o wadach i przywarach, jako warstwy odrębnej, mówił z całą otwartością. Rozrzewniał się bardzo — do łez, do melancholji, ale nie do jęku, nie do krzyku; przytem starał się być zawsze sprawiedliwym: złym i niegodziwym stronom przeciwstawiał dobre i godziwe, równoważąc pierwiastki, odpychające pociągającymi.

Gdy Prus, Orzeszkowa, później Konopnicka, malując dolę ludu, wstrząsali nami do głębi; gdy Sienkiewicz przerażał nieraz grozą sytuacji przedstawianych i swoją *filozofją ludową*, gdy Dygasiński i Junosza bawili świetnie podpatrzanym humorem chłopskim, albo poddawali chłopca ścisłym, drobiazgowym badaniom przyrodniczym, — Sewer łagodził wzburzenia i oburzenia nasze, chwytając wprost za serce, kazał płakać, ale i pocieszał.

Dla Sewera nadto był lud bardziej, niż dla kogo innego, przedmiotem bezinteresownego badania i odtwarzania. Używał nieraz Sewer ludu w celu strofowania tych lub owych, odwoływał się do niego dla poparcia swoich przekonań demokratycznych i wypowiedzenia przekąsów pod adresem deklamującej na temat pracy dla ludu inteligencji, pomimo to jednak widocznem zawsze było, że lud dla niego jest więcej celem, niż środkiem i argumentem w polemice. Ale nie trzeba znowuż sądzić, że w tem zwracaniu się twórczości Sewera do życia ludu przeważały względy czysto artystyczne. Nie, działało tu bezpośrednie umiłowanie ludu dla jego życia pełnego znoju i cierpienia, dla jego radości prostych i szczerych, dla uczuć niewyszukanych lecz silnych — bez względu na to, jaka nauka wyniknąć może dla kogokolwiek z odtwarzania tego wszystkiego, jakie potępienie tych lub owych mniemań i poglądów.

To umiłowanie bytu chłopskiego dla niego samego, sprawia nieraz, że niekiedy Sewer-publicysta jest w niezgodzie z powieściopisarzem-ludowcem. Sewer oświatę ludu uznaje za jedną z najnieodzowniejszych potrzeb cywilizacji współczesnej i rozpowszechnianie jej zalicza do głównych obowiązków inteligencji. W noweli

„Franś Walezak” wypowiedział cierpko i z gorczy wzdarcę dla tych, co igrają hasłem oświaty ludu, ale stają się obojętnymi względem dążeń ludowych do wiedzy, gdy im trzeba czynną pomoc okazać. Tymczasem z innych utworów („Łusia Burlak”, „Wiosna”, a poniekąd i z ostatniej powieści „Biedronie”) wieje duch chociaż nie wrogi ideałom oświecania ludu, bądź co bądź jednak z niemi niezgodny. Tutaj Sewer uważa, że zetknięcie się jednostek z ludu z wyższą kulturą jest niebezpieczne dla ich charakteru; pozbawia go ona podług niego, najcenniejszych przymiotów: naiwności, prostoty, świeżości i siły uczuć, w których Sewer jest rozmiłowany. Radby więc chłopca zatrzymać na roli przy dawnych zwyczajach i upodobaniach i nie wrywać go z wiejskiego otoczenia, w tem tylko bowiem widzi rękojmię zachowania w stanie nietkniętym, niewynaturzonym tego wszystkiego, w czem lubuje się jego oko, co kocha i podziwia serce.

Oto cieszy się, że Łusia (z now. „Łusia Burlak”), z której chciano zrobić panią profesorową i w tym celu posłano na naukę do miasta, powróconą zostaje przyrodzie wiejskiej, uciechom i zajęciom ludu; cieszy się, że nie zabito w niej „głębokiej wiary, miłości do rodzinnej wioski i uśmiechów przyrody, ciepła serdecznego”.... Radośnie wita powrót Marysi (now. „Wiosna”) z miasta do wioski rodzinnej i obietnicę jej, daną matce, niepowracania tam więcej. Wprawdzie i czytelnik cieszy się z tego wszystkiego razem z autorem, widzi bowiem, że w tych poszczególnych wypadkach, istotom tym tylko w pierwotnem ich wiejskiem otoczeniu może być zupełnie dobrze, że gdzieindziej utraciłyby one właściwe im piękno i doznałyby krzywd nieczem niewyrównanych, mimo to jednak nie mógłby przyznać zupełnej słuszności autorowi, zachwyceniemu takim, a nie innym obrotem sprawy. Z góry trzeba przystać na to, że kultura wyższa, przenikając do sfery ludowej, wiele tam pięknych rzeczy odmieni, nie jeden rys barwny i sympatyczny zatrze; czy jednak dla tego ma ona tam nie przenikać? czy wpływy jej mają koniecznie lud znieprawiać i wynaturzać?

Gdy w „Biedroniach” rysuje nam Sewer pociągającą postać chłopaka wiejskiego, upajającego się czytaniem książek, egzaltującego jego wyobraźnię i budzących w nim uczucia i pragnienia niezrozumiałe i prawie nieużyteczne dla jego otoczenia, kiedy wskazuje nam mimowoli rozdzwiek, jaki to wytwarza między nim i pojęciami osób najbliższych, — to z pewnością dalekim jest od chęci przekonywania czytelnika, iż rzeczą chłopca jest nie czytanie książek, lecz wyłączne oddawanie się pracy i zabiegliwości dookoła bytu materialnego. Tymczasem niejedno może mieć wątpliwość, co do tego, czy to przenoszenie się chłopca w sferę pojęć i pragnień, odmiennych od tych, jakimi żyje w bezpośrednim otoczeniu, jest według autora rzeczą pożądaną.

Sprzeczności jednak podobnych niewiele znaleźćlibyśmy w utworach Sewera, nawet oceniając je ze stanowiska ogólniejszego; te zaś, które są,

w szczerem wzruszeniu serca autora znajdują usprawiedliwienie.

Przyjrzyjmy się zblizka niektórym z tych wiejskich powieści.

II.

Parę słów poświęcmy drobniejszym. Jest ich kilka najrozmaitszej treści: radosnej i promiennej, rzewnej, smutnej, pogodnej, szarej, nawet łzy wyciskającej z oczu, z wyjątkiem jednak „Franusia Walczaka“ żaden nie nęka sumienia ponurem rozwiązaniem, nie stawia nam przed oczy nie dającej się odpędzić zmyry—żału, bądź wyrzutu. Dużo bólu i cierpienia bezradnego zebrał Sewer w obrazie przygód poniewieranej sieroty wiejskiej („Dola“), kończących się śmiercią znękaną losem istoty, jednakże i na tem tle szarem wyszukał miejsce dla paru promieni słonecznych, powstrzymujących czytelnika od złorzeczenia losom. W nowelach: „Dla Świętej Ziemi“ i „Kasia“, w których Sewer dotknął najwrażliwszego bodaj nerwu organizmu chłopskiego, mianowicie: przywiązania jego do ziemi-karmicielki, nie brak sytuacji dramatycznych i starć ostrych, ale i tu rozwiązanie, częściowo przynajmniej, ociera łzy dokniętym i pokrzywdzonym. Zbyt smutne powikłania krępują snadź wyobraźnię autora i deprymująco działają na polot jego twórczości, zasoby jej bowiem najwspanialej rozwijają się tam, gdzie chodzi o przedstawienie stosunków ludzkich, łagodniejszym prądem płynących. Ileż to werwy, czerstwości i rozmachu, a przytem ile wdzięku i barw świeżych w takiej „Zalotnicy“, tej naiwnej, po dziecinnemu prawie podstępnej dziewczynie wiejskiej, która nęci i zwodzi panicza wdziekami, by powiększyć ubogą „chudobę“ matczyną, a jednocześnie stwierdza, że jej Błazek „nie tak delikatnie, całuje, jak panicz, ale jakoś lepiej, jakoś mocniej i raźniej“. Marynie zalotnicy przebaczylibyśmy gorsze bałamuctwa, tyle w niej czystości nieklamanej, — to natura sama, nie wiedząca, co srom. Przepiękna to, rzeźka postać, uśmiechająca się figlarnie w potopie jasności słonecznej, owiana świeżością zdrowego powietrza wiejskiego.

Taką prostotą i szczerością może głębszą i subtelniejszą, tchną inne postacie dziewczęce: Łusi z noweli tegoż tytułu i Marysi z „Wiosny“. Łusia i Marysia, poza wsią rodzinną, poza swem otoczeniem pierwotnem nie pojmują życia. Przeniesione do miasta trują się jego atmosferą i tęsknią śmiertelnie; to też, wyrwawszy się z miasta, nie chcą za nic w świecie do niego powrócić. Marysia, znalazzszy się w ukochanej wiosce, w jakimś zachwycie i rozmodleniu powiada: „Tak ci jestem uradowana... matusiu, żeby to tak w niebie“; nastrój Łusi zdradza podobne namaszczenie religijne niemal, jakąś rozkosz istoty, powracającej do zdrowia i życia.

Autor wypieścił te dwie postacie dziewczęce—włożył w nie najlepsze uczucia serc prostych: wiarę, wdzięczność, pogodę...

Chociaż w drobiazgach tych nie brak szczegółów i scen, malujących stosunki wiejskie ze

strony ogólniejszej, jednak dopiero w większym utworze p. t.: „Przybłędy“ i ostatnio w powieści „Biedronie“, Sewer ogarnął rozległe obszary bytu chłopskiego i przesunął przed naszym wzrokiem urozmaiconą panoramę spraw wiejskich.

(Dok. n.)

WŁ. JABŁONOWSKI.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Anna z hr. Mycielskich Lisicka. *Ze świata muzyki. Życiorysy i szkice*. Kraków 1896, str. 249.

Książka ta, podzielona na pięć części (Rossini i Marietta Malibran; Robert Schumann; Artysta w kółku rodzinnem; Fryderyk Chopin; Po szlakach melodji), ma tę zaletę, iż pisana jest barwnie i interesująco, zawiera wiele zajmujących anegdot, drobnych szczegółów z żywota najslawniejszych muzyków, które tradycja przechowała i dodatkami upiękusiła, i może być czytana z przyjemnością dla odmiany między jednym romansem i drugim. Zawiedzie się jednak ten, kto by chciał znaleźć związek pomiędzy „życiorysami i szkicami“ pani L., a historją muzyki, która obecnie tak bujnie się w Niemczech rozwija i posiada katedry swe w uniwersytetach.

Moglibyśmy strona po stronie mierzyć treść książki łokciem ścisłości naukowej, ograniczmy się jednak przykładem. Oto na str. 229 autorka powtarza znaną powszechnie legendę o zamówieniu u Mozarta słynnego Requiem przez jakąś tajemniczą osobistość, która w wyobraźni Mozarta przybrała kształty diabła. Poszukiwania naukowe wykazały¹⁾, iż Requiem było zamówione przez hr. Walsegg z Stuppach, który wysłał do Mozarta w celu zamówienia Requiem swego sługę w sposób tajemniczy jedynie dlatego, ażeby wykonać później Requiem jako utwór własny.

Wiadomo również dobrze, że wdowa po Mozarcie, którą ten pozostawił w nędzy prawie, uprosiła długoletniego ucznia Mozarta, Süßmayera, ażeby Requiem dokończył, gdyż inaczej miała ją ominąć zapłata. Süßmayer, przed którym Mozart przegrywał Requiem tak, jak było skończonem w jego myśli, podjął się tego i dokonał.

Tak wygląda pod drobnostwami krytyki historycznej bajeczka o tajemniczym, czarnym człowieku, który Requiem zamówił, a w którym jedni diabła, inni śmierć upatrują.

Poglądy pani L. na muzykę nowoczesną, w szczególności na twórczość Wagnera, tchną szczerym dyletantyzmem. Jeśli publiczność warszawska ziewa na niedołężnych parodiach „Lohengrina“ lub „Tannhaüssera“, to dziwić się temu nie można, gdyż kwitnie u nas jeszcze kult Donizetti'ego i Verdi'ego; lecz od autorki „Ze świata muzyki“, chcącej zapoznać szersze koła z tajnikami dziejów muzyki, jesteśmy w prawie żądać sądu wytrawnego.

Przy okazji niech nam wolno będzie wyrazić żal, że tyle dobrych chęci i trudu poszło na kompilację anegdot, rozsianych przeważnie po życiorysach sławnych muzyków zachodu. O ileżbyśmy radośniej

¹⁾ Otto Jahn „Mozart“, 1856 — 59, IV.

przyjęli przyczynek do dziejów muzyki swojskiej, które dzisiaj zupełnie prawie leżą odlogiem. Materiału chybaby nie zabrakło.

MK.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

3r. — W jednym z tygodników warszawskich czytamy: „W rozprawce poruszają się różnorodne kwestje, na punkcie których nie wolno być ignorantem.” „Na punkcie których...” jest francuszczyzną, zamiast: „co do...,” albo „względem...” Drugi błąd spoczywa w „poruszają się,” zamiast „autor porusza,” „poruszane są,” lub inaczej. W języku polskim czasowniki zwrotne dość rzadko w podobnych razach zastępować mogą bierne. Mówimy, gdy chodzi o zwrot nieosobisty: „Książka ta *czyta się* łatwo,” „Muzyki jego *słucha się* z przyjemnością,” ale błędnymi są takie frazesy, jak np. „W książce tej mówi się o reformach,” albo „W artykule tym wyklada się nowy pogląd na...” itp.

NA WIDOWNI.

Dzikość kobiet. — Znowu filantropja zamiast samopomocy! — Kolej Wilanowska. — Flircik z zarządem.

Odszedłem od afisza pod ciężkiem wrażeniem pogróżki, że dzikie kobiety już tylko przez dni parę pokazywać się nam będą w pannopectum. Pocieszyła mnie pani Marholm, zapewniając, że „w każdej najłagodniejszej i najlepszej kobiecie tkwi owa niewyczerpana dzikość, ów nieujarzmiony pierwotnie, dziki temperament.” Wobec tego mogłem być pewnym, że w zakresie dzikości poradzimy sobie bez Huma’i i jej towarzyszek.

Jak słabe są jeszcze więzy naszej cywilizacji, przekonywamy się na mocy dowodów sezonowych. W porze obecnej tłumy kobiet, trudniących się nalewaniem oleju do głów dzieciennych, żywić się będą korzonkami i miodem leśnym, mieszkać pod osłoną jałowca. Grono filantropiek występuje z tego powodu z zamiarem urządzenia „wakacji dla nauczycielek.” Znowu filantropja! Nauczyciel miałby sobie za ujmę korzystać z wakacji, „dobroczyńnych,” ale co do kobiety, to pomimo całej blagi o jej posłannictwie wychowawczem, wynagradzamy ją za to posłannictwo gorzej, niż wtedy, gdy uda się jej wdrapać na stanowisko „nieodpowiednie.” Znam nauczycielki, które co roku mogą pozwolić sobie na wyjazd do

wód zagranicznych dla zdrowia, a oprócz tego odkładają grosz jakiś na starość; ale są to wyjątki. Ogół tych pracowniczek jest dość blizkim jeżeli nie nędzy, to ubóstwa. Oprócz nadmiernej podaży pracy wpływa na taką biedę intryga „braci baraszkujących i bezładnych tatków,” która nigdzie zapewne nie obarcza budżetu sióstr i córek w takim stopniu, jak u nas. Pomimo to jednak filantropijne traktowanie tej najbardziej oświeconej gromadki żeńskiego proletariatu inteligencji ma w sobie coś wstępnego, coś odbierającego wszelką wiarę w naszą żywotność.

Filantropja jest tutaj tem bardziej rażąca, że niema może zakresu, w którymby łatwiej i lepiej można było obywać się bez niej. Naprzód wzajemna pomoc nauczycielek... Ale my zresztą nie wiemy, co znaczy ten wyraz. Większość przekonana jest, iż wzajemna pomoc to tyle, co: „hrabina X przez pamięć zasłużonej guwernantki swych dzieci, zapisała na rzecz *schroniska* przepyszną koronkową mantylę,” albo „baronowa Z nosi się z myślą ofiarowania cennej swej kolekcji szpilek podwójnych na rzecz *przysług* pracownic zawodu pedagogicznego.” W najlepszym razie wyobrażamy sobie, że pomoc wzajemna powinna mieć: jednego prezesa (1.000 rs.), dwu wiceprezesów (po 500 rs.), członków honorowych (po 100 rs.), członków rzeczywistych (po 10 rs. z warunkiem, aby nigdy sami nie trudnili się rzeczywistym nauczaniem) i całą kupę głodnych, starych, ślepych, kulawych „petentek, pragnących wnosć podania, poczem będą udzielane wsparcia w kwocie...” Konieczne wsparcia i konieczne w kwocie. Nie wierzymy dotąd w moc usiłowań drobnych a licznych, nie romiemy siewu, którego owoce zbierze jeżeli nie drugie, to trzecie, lub czwarte pokolenie. Imponują nam olbrzymie i potężne środki cywilizacji zachodniej, nie zadaliśmy jednak sobie pracy wyśledzenia ich źródeł, sączących się nieraz przez wieki całe, zanim poczną obracać ogromne koła machin samopomocy zawodowej. Ponieważ tego wszystkiego nie rozumiemy, więc... nie psujemy sobie humoru, tak troskliwie pielęgnowanego na rzecz wyścigów, wystawy stylowej, dzikich kobiet.

Ale jest jeszcze jeden sposób urządzenia wakacji bez filantropji. W całym kraju ilość nauczycielek nigdzie nie odpowiada istotnej potrzebie oświaty, choć często przekracza możliwość oświecania się. Dwa albo trzy miesiące nauki prawie niepłatnej znalazłoby w kraju

tyle chyba zwolenników, że wszystkie uboższe nauczycielki, mające do wyboru głód i zaduch w mieście, albo znośny posiłek i świeże powietrze na wsi, mogłyby przy odpowiedniej organizacji wywiadowczej i pomocniczej umieścić się w jakiejś wiosce albo osadzie. Pomoc mogłaby być nawet filantropijną, lecz filantropja dotyczałaby właściwie nie tych, które dają pracę, ale dzieci, albo rodziców, naprawdę nie mogących tej pracy do siebie sprowadzić, czy też o własnych siłach wyżywić. Niecierpliwość mię jakaś ogarnia, gdy wspominam tu jeszcze raz o potrzebie filantropji — tak dalece jestem przekonany, tak dalece wiem, że zasoby różnych luzem żyjących rodzin i jednostek aż nadto mogłyby i chciałyby użytkować u nas pracę wychowawczyń w podobnych warunkach. Ale cóż poradzimy na to, że takie nieuspołecznienie, taka dzikość naszych kobiet uczących, albo mających dzieci do nauki nie zajmuje umysłów swojskich tak żywo, jak dzikość trzydziestu trzech poddańek pryncesy Huma'i.

W krajach nawpół barbarzyńskich wszelkie plody natury, nie eksploatowanej jeszcze przez nikogo, kosztują bardzo mało, zato wytwory cywilizacji, zjawiające się tam od czasu do czasu, budzą niesłychany podziw i są śmiesznie drogie. Tak np. korzonków i miodu leśnego nauczycielki nasze dostaną darmo, ale pociągi kolei Wilanowskiej, przerzynające lubą i nawpółdziką ustron. każą sobie płacić dwa razy więcej, aniżeli droga, przebiegająca bardziej kulturalną i zaludnioną okolicę Pruszkowa. Szkoda, że ani trupy ogródkowe, ani panoramy, ani szansonistki, ani dzikie kobiety nie zjeżdżają do nas od strony Wilanowa; w przeciwnym razie już dawno postaralibyśmy się o зниżenie taryfy w interesie sztuki krajowej.

Na wyżyny iście kulturalnej oglądy i uprzejmości wdrapujemy się jedynie wtedy, gdy pisma nasze mają zaznaczyć jakąś kradzież, nadużycie, niedołęstwo, niedbalstwo którejkolwiek instytucji finansowej. W razach podobnych pomiędzy sprawozdawcą dziennika, a zarządem instytucji odbywa się jakaś pantomina, której publiczność nie rozumie, ale która nie razi subtelnych uszów i delikatnych oczów. Niedawno powtórzyliśmy tu łamigłówkę o „nierównościach“ i „chropowatościach“, o „zbożeniach“ dla „zaokrąglenia“ pewnych rachunków pomiędzy koleją Wiedeńską a jej pracownikami. Teraz mamy dwie tegoż rodzaju pre-

mjery pantominowe. *Kurjer Warszawski* biada nad nieporządkami *Kasy emerytów warszawskich*, gdzie brakuje paru tysięcy rubli, ale ani *Kurjer*, ani zarząd, ani komisja rewizyjna, ani zgromadzenie ogólne nie wiedzą jeszcze, czy to są proste „nieporządki“, czy też nastąpiła tam istotna dewaluacja majątku emerytów. Z drugiej strony *Kurjer Codzienny* „prosi o słówko“ zarządu Osady studzienickiej, gdyż „po mieście zaczynają coraz uporczywiej krążyć pogłoski, bardzo dla zarządu nie pochlebne.“ Kochane pogłoski! Krążą sobie po mieście, a ile razy wstąpią do redakcji *Kurjera*, dają mu możność flirtacji z zarządem: „Powiedzcie waszemu zarządowi, że go kochaliśmy zawsze, kochamy, a teraz prosimy o słówko!“ Czyż można prosić o coś więcej wobec osób trzecich? Ale publiczność niewiele więcej dowie się pewno po rozmowie sam na sam pisma z Zarządem, bo czyż można znowu zdradzać tajemnice rozmów poufnych?

JAN WEZNAKI.

G Ł O S Y.

Z wystawy higienicznej. — Podejrzane zachwyty. — Sprawa kobiet Bałuckiego — Wyjaśnienie Arwora.

(x) Dziś rozpoczynamy sprawozdanie poszczególnych działów Wystawy higienicznej. Teraz, kiedy już wykonczono ją zupełnie, z łatwością ocenić można, jakie bogactwa ciekawego materiału mieszczą się w zbiorach, choćby najmniej na rzut oka ponętnych. Nie trudno spotkać się ze zdaniem, że wystawa higieniczna ma przede wszystkim przeznaczenie oświecania ludu, bo ten jest brudny i nie zna elementarnych zasad higieny, podczas gdy inteligencja nie nowego dla siebie tam ujrzeć nie może. Niestety, nie zna swego społeczeństwa, kto tak myśli. Nieprędko doczekamy się czasów, kiedy żądza wiedzy pocznie na wystawy ściągać dzisiejsze warstwy ludowe. Dobrze będzie, jeśli X wystawa higieniczna zaznaczy jaki taki postęp w życiu domowym ludu, pod wpływem propagandy kultury dokonany; tymczasem urządzić trzeba jeszcze niejedną wystawę, nie jedno dzieło higieniczne wydać, aby inteligencja otrząsała się choć trochę z zasadami życia higienicznego i rozumiała jak ściśle z temi pedantycznymi na pozór wymaganiem wiedzy wiąże się kwestja postępu kultury wogóle.

Dosyć jest w dzikusach wysp australijskich wzbudzić pragnienie jakichś takich wygod ciała, aby ich wciągnąć na drogę postępu. Produkcyjność wysiłków ludzkich rośnie w stosunku prostym do skali wymagań życiowych. Minimum produktywności musi odpowiadać sumie potrzeb ciała, uznanych na danym stopniu kultury za niezbęd-

ne. Niema postępu, gdzie brak tęsknoty do lepszych warunków życia; w miarę ich polepszania się wzrasta cena życia i jego samoochrona.

Lecz są to rzeczy znane. Wracając do przedmiotu, trzeba nadmienić, że zwiększył się pożytek zwiedzania wystawy, odkąd specjaliści udzielać zaczęli publiczności objaśnień.

Zarząd wystawy postanowił, że dni od 26 do 29 czerwca poświęcone będą specjalnie oprowadzaniu lekarzy prowincjonalnych. Ci najlepiej pewno rozumieją doniosłość wystawy i nie pomina sposobności jej zwiedzenia.

(wl.) W Teatrze Nowym wystawiono komedię z francuskiego p. t. „Pan Dyrektor.” W ocenie gry artystów p. Kazimierz Zalewski pisze między innemi co następuje:

„P. Śliwiński zyskał sztukę, której powodzenie długo się nie wyczerpie i rolę pewno najlepszą w swoim repertuarze. Bo gra ją zupełnie ładnie. Nie przesadza, nie afektuje, jest w niej naturalny, swobodny, a nie szukając efektów zbyt wyrazistych, znajduje je w starannem wycieniowaniu dowcipnego dIALOGU i w subtelniejszych pomysłach artystycznych.”

Sumienny krytyk teatralny „Słowa” p. J. Ł. w następujący sposób ocenia grę tegoż artysty:

„Reżyser Teatru Nowego obdarzył siebie samego tytułową rolę i podjął ją z całym zaufaniem w swoje siły. Nicch mu niebios ten ciężki grzech odpuszczają!”

Teraz pytamy, czy jest możliwe, aby gra tego samego artysty w tej samej *główniej* roli mogła wywołać tak różne *szczerze* oceny dwóch krytyków?

Fakt ten sam przez się nie nie znaczy, ale nabiera wagi, skoro go się należycie, oświecili. Od pewnego czasu nasi krytycy wymyślili sobie sport dziwnego rodzaju: urządzają nagankę na reżysera Teatru Rozmaitości, a p. Śliwińskiego za wszystko, cokolwiek zrobi, wynoszą pod niebiosy. W powyżej cytowanej ocenie p. Zalewski nie mógł się również powstrzymać od przycinka na rzecz p. Szymanowskiego. Według niego „prawdopodobnie z powodu nawalu zajęć i nadmiaru cennych *dział dramatycznych* w teatrze Rozmaitości „Dyrektor” dostał się teatrowi Nowemu.” P. M. Gaw. w ostatnim numerze „Kraju” całą niemal korespondencję z Warszawy poświęca tej milej igraszce. Oto co tam czytamy:

„Dramat i komedia pod wodzą p. Szymanowskiego idzie dalej znowu po omacku. Reżyserja nasza pod tym względem jest niepoprawną, zaciętą w swoim uporze, głuchą na wszelkie życzliwe rady i nawoływania, nieczułą na wszelką nagane. Robi tylko to, co jej się podoba a robi źle... Świadczy o tem nieustannie: zły wybór sztuk i wadliwa obsada, lekkomyślność w projektowaniu repertuaru i powtarzanie ciągle jednych i tych samych błędów, które mu się wytyka ze strony poważniejszej krytyki...”

Oczywiście p. M. Gaw. siebie uważa za jednego z przedstawicieli tej „poważniejszej krytyki...” Za to

„p. Śliwiński dobiera sztuki dobre, wystawia je starannie, dba o efektowne nowości i przysparza stale dochodu teatrowi.”

Dopóki chodzi o nagane dla p. Szymanowskiego, zgadzamy się z „poważniejszą krytyką,” chociaż nie uczestniczymy wraz z nią w nagance. Istotnie w ciągu ostatniego roku nie wystawiono w Teatrze Rozmaitości ani jednej komedji przerastającej poziom miernoty. Nie wyłączamy tu ani „Syna” ani „Królewicza,” choć obie te sztuki „poważniejsza krytyka” przyjęła z zachwytem. Nie możemy zato zrozumieć, czem p. Śliwiński zasłużył się tak warszawskiej scenie. Czy może „Posagiem Brygidy,” który z ostrą naganą spotkał się w ostatnim czasie, albo „Wyrodnym Ojcem” który byłby niezłą krotoczwila, gdyby nie psuł jej p. Śliwiński w roli tytułowej? Zaiste nie możemy zrozumieć, *jakiemi* drogami trafił on do „syndykatu” kurjerowej krytyki, która nazywa siebie „poważniejszą.” W każdym razie, zanim wawrzyńcy sławy opłotą czoło p. Śliwińskiego, może on tymczasem zadowolić się jej surogatem—reklamą, bezprzykładną w dziejach naszej prasy.

(s. k.) Teatr Belle-Vue zapoznał nas z najnowszą komedią Michała Bałuckiego: „Sprawa kobiet.” Dzięki dobrej grze artystów, starannej wystawie, tańcom krakowskim i kilku udatnym dowcipom, publiczność bawi się dobrze—sztuka ma powodzenie.

Utworu swojskiego, będącego już nie dziełem wyższego talentu i ducha, lecz wybiegającego poza szablonowe ramki moralów zdawkowych, tak dawno nie oglądaliśmy na scenie naszej, że nie powinno nas dziwić to łatwe w czasach ostatnich powodzenie sztuk *miernych*, byle wesołych. Można mieć tylko żal do autora, sięgającego kiedyś wyżej, że poddał się zupełnie wymaganiom publiczności teatralnej i w ostatniej komedji, całkowicie zapomniał o granicach żartu.

Autor postanowił ośmieszyć „sprawę kobiet” i w tym celu wprowadza nas... do dworku szlacheckiego p. Jacka. Pan Jacek nie może zjeść śniadania, bowiem panna Flora jest „femistką” i dla tego... zgubiła kluczyki od spiżarni. Panna Jadwiga czytuje chętnie „Brandesa i Milla” i z tego powodu młodszemu braciszkowi brakuje... guziczka u majtek. Młody nauczyciel, przyszły doktor filozofii i współpracownik postępowego pisma, potrafi mówić tylko o poważnych rzeczach i dla tego... dosiada konia z prawej, nie zaś z lewej strony. Takim przedstawicielem „sprawy kobiet” przeciwstawia autor: naiwną Zosię, importowaną wprost z Soplicowa, dragona austriackiego, mającego „kształty, jak gdyby ze stali wykute” i dwóch szlacheiców herbowych, których „zdrowy rozsądek” pobija bez pardonu logikę „Brandesów i Millów.” Zosia przyrządza tak smaczne pierożki i tak czule karmi ptactwo, że młody apostoł nauki i postępu pragnie na jej łonie złożyć skolataną głowę. Kształty dragonów

skie podziały na pannę Jadwigę tak potężnie, że „Nowe Prądy Brandesa“ przestały być dla niej nowymi i, zamiast jeździć do Paryża na kongres feministek, wybiera się z dragonem do ołtarza. Szlachetce dziatkom pobłogosławili, oddali im w posiadanie wioski i rozwiązali... „sprawę kobiet.”

A więc, dla udowodnienia niezaprzeczonej nigdy prawdy, że w dworku pana Jacka pierożki lepiej smakują, niż książka „Brandesa,” a kult kształtów dragonich silniejszy jest od kultu „Milla,” występuje autor z całym arsenałem pocisków, miotanych przez 4 akty na obrońców sprawy kobiecej. Może autor do tytułu „sprawa kobiet” zapomniiał dodać: „w dworku p. Jacka?” Nie Wycieczka do kraju Zulusów, wizyta złożona prof. Virchowowi, okurzenie z pyłu ksiąg Salomona aż nadto świadczą, że autor miał na myśli powszechną sprawę kobiet, ich walkę o chleb i że rozwiązanie jej widzi w przyrządzaniu smakowitych pierożków i w męskich kształtach.

Jeżeli autor zapomniiał już o smutnym losie „Silaczki” galicyjskiej, to niechaj zechce mieć na uwadze możliwość wypadku, że którakolwiek z kobiet uczących, szyjących, rachujących, zaoszczędziwszy coś przez szereg lat za kilkunastogodzinną dzienną pracę 30 kop. zechce posłuchać rozwiązania *nią własnej* sprawy przez szanowanego w literaturze autora i usłyszy... toast imieninowy na cześć p. Jacka i Zosięni.

(x) Z powodu feljetonu w Nr. 20 *Głosu*, w którym Jan Weznaki poświęcił kilka słów „powieściom reporterskim,” zaliczając do nich utwór Arwora „Na giełdzie cnoty,” w *Niwie* drukowany, — zgłosił się do redakcji naszej p. K. Łaskowski i oświadczył:

1) że on jest Arworem; 2) że powieść jego nie jest reporterską, ponieważ reporterem nigdy nie był; 3) że Orbitus w jego powieści pełni rolę podrzędną, bynajmniej nie bohatera; 4) że Orbitus nie wypowiadał aforyzmów o miodzie i occie w powieści, lecz w innej rubryce *Niwy*, za co on, jako autor powieści, odpowiadać nie może; 5) że wreszcie Orbitusa nie wzorował na Skrzyneckim (Werytusie), ponieważ wcale go nie zna.

Możemy p. Łaskowskiemu powinszować, że uniknął tej znajomości, lecz czemu wprzód nie zawiadomił o tem redakcji *Niwy*? Pewno nie umieściłaby aforyzmów Orbitusa, które o pokrewieństwie jego z Werytusem świadczyły.

Wystawa higieniczna.

II.

Antropologia.

Poszukiwania antropologiczne we właściwym, dzisiejszem pojmowaniu tego wyrazu nie cieszyły się u nas dotychczas powodzeniem. Podczas

kiedy materiału folklorystycznego zebrało się dosyć i ta gałąź nauki, być może dzięki temu, że nie wymaga zbyt wielkich studjów przygotowawczych, liczy zastęp poważny badaczy, w piśmiennictwie antropologicznem znajdujemy zaledwie kilka nazwisk. Jeżeli teraz weźmiemy jeszcze pod uwagę tę okoliczność, że poszukiwania Majera, Kopernickiego, Talki-Hryncewicza nie obejmowały Królestwa Polskiego, to przyjdziemy do wniosku, że do ostatnich lat nie prawie u nas w kierunku badań antropologicznych nie zrobiono. Dopiero od lat 5—6 spotykamy poważniejsze próby charakterystyki fizycznej ludności Królestwa, a p. L. Krzywicki zdobył się nawet na szerokie wnioski naukowe. Obecna wystawa higieniczna wydobyła na jaw dla szerszej publiczności sporo dowodów, że praca w zakresie antropologii fizycznej posuwa się naprzód, że zastęp badaczy się zwiększa. W sprawozdaniu niniejszem ograniczę się rozbieniem tylko główniejszych wyników poszukiwań.

W pawilonie głównym znajdujemy niewielki kącik przeznaczony dla sekcji statystycznej. Z działu, obchodzącego nas w tej chwili, uwagę zwraca przedewszystkiem 6 tablic p. Kazimierza Daniłowicza-Strzelbickiego, przedstawiających graficznie charakterystykę fizyczną ludności Królestwa Polskiego. Jest to zestawienie rezultatów 13.614 pomiarów, zebranych w nierównej liczbie we wszystkich powiatach Królestwa i dotyczących wyłącznie ludności czysto polskiej. Autor unikał nawet takich osobników, których nazwiska brzmiały nie popolsku, lub którzy napłynęli z ościennych prowincji lub gubernji. Przeciętny wiek badanych wynosił 31, 58 lat, były to zatem osobniki w pełnym rozkwicie życia, z wymiarami ciała ustalonymi.

Tablica pierwsza przedstawia wyniki pomiarów wzrostu. Najniższy wzrost znalazł p. K. D. S. w pow. Konstantynowskim (1.600 milimetrów), dalej następują powiaty: Mławski (1.615 mm.), Makowski (1.625), Częstochowski (1.628), Wołkowyski (1.630); najwyższy w pow. Zamojskim (1.783), po którym następują powiaty: Krasnostawski (1.725), Olkusi (1.725), Marjampolski (1.715) i Płocki (1.712). W pow. Warszawskim (łącznie z Warszawą) wzrost nie przekracza 1.703 mm., 1.679 mm. zaś stanowi cyfrę przeciętną dla Królestwa. Przeciętne, otrzymane dla pojedynczych gubernji, wykazują, że najwyższym wzrostem odznacza się ludność gub. Lubelskiej (1.701—u W. Olechnowicza dla szlachty 1.742 dla włościan 1.662), najniższym—Siedleckiej (1.661).

Zestawiając rezultaty poszukiwań p. D. S. z cyframi, zdobytymi przez p. Zakrzewskiego¹⁾, przekonywamy się, że wprawdzie nie odpowiadają one sobie w zupełności (u p. Zakrz. przeciętna 1.624 mm.), ale tylko pozornie. Pan Z. brał pomiary z młodzieży poborowej, tj. posiadającej wiek lat 21, rzadko wyższy; ponieważ jednak rośnięcie nie zatrzymuje się w tym wie-

¹⁾ „Wzrost w Królestwie Polskiem. Przyczynek do charakterystyki fizycznej polaków”. Zbiór wiadomości do antropologii krajowej. Tom XV.

ku, a przeciwnie według Majera, Topinard'a i in. trwa niekiedy nawet do r. 29—34, przyjmując zatem mniej więcej prawdopodobny przyrost 5,00 cent. otrzymamy cyfrę w obu wspomnianych badaczów prawie zupełnie zgodną

Na drugiej tablicy znajdujemy krzywe graficzne rozdziału wskaźnika piersiowego ¹⁾ w Królestwie Polskiem. Przeciętny wskaźnik piersiowy dla całego Królestwa wynosi 53,7, najwyższy znajdujemy w gub. Lubelskiej (54,4); Piotrkowskiej (54,4) i Siedleckiej (54,1), najniższy w Suwalskiej (51,2) oraz w Płockiej (52,6). Dla Warszawy znalazł autor cyfrę 53,2. Jak wyżej cytowane cyfry, tak samo i ostatnie są u p. Strzelbickiego wyższe, niż u innych badaczów (obwód piersiowy u Polaków badali Majer, Kopernicki, Goldstein), powód zaś takiego rezultatu pomiarów wskazałem wyżej.

Dla uzupełnienia obrazu fizycznego budowy Polaków z Królestwa badał p. K. D. S. i wagę ciała, dokonywując tej samej ilości pomiarów tj. 13.614. Jak należało spodziewać się z cyfr poprzednich, maximum wagi okazuje się w pow. Zamojskim (87,5 kilogramów), dalej idą powiaty: Sejneński (87,5), Sierpecki (87), Iłżecki (86,5) i Radomski (86); minimum znajdujemy w pow. Nieszawskim (57,7) i Będzińskim (61,3), podczas gdy przeciętna dla całego obszaru badanego wynosi 73,5.

We wszystkich trzech pomiarach niewątpliwie pierwsze miejsce zajmuje gub. Lubelska dalej następują Warszawska, Łomżyńska, Kielecka i Płocka; w innych guberniach brak jakiegokolwiek widocznej prawidłowości.

Na tablicy 4-ej przedstawia nam autor rezultat badań koloru oczów. Szkoda tylko, że zamiast podzielenia materiału badanego według czterech zasadniczych barw oczów (błękitne, piwne, siwe i zielone), p. K. D.-S. daje szemat o dwóch barwach: jasnej i ciemnej. Z poszukiwań p. S. wynika, że naogół oczy jasne znacznie częściej się spotykają, ciemne bowiem znajdujemy tylko w 14 powiatach, bezładnie rozsianych, np. w pow. Tomaszowskim, Sandomierskim, Radomskim, Częstochowskim, Kaliskim, Konstantynowskim, Bialskim, Rypińskim itd. Nieco częściej zdarza się ludność o ciemnych włosach, jak to widzimy na tabl. 5. Siedzi ona szczególnie zwartą masą w pow. Sierpeckim, Płockim, Gostyńskim, Kutnowskim, Sochaczewskim, Warszawskim, Radzyńskim, Ciechanowskim i Makowskim, zostawiając w środku lukę w pow. Płońskim i Pułuskim. I tu wszakże barwa jasna przeważa; mniej więcej 26 powiatów tylko ma ludność o ciemnym kolorze włosów.

Nakoniec ostatnia (6-ta) tablica uplastycznia nam rozdział typów: jasnego, ciemnego i mieszanego, charakteryzowanych kolorem oczu i włosów. Jak już z powyższych danych czytelnik mógł wywnioskować, typ jasny naogół przeważa; ciemny rozsiany jest bez żadnej prawidłowości

topograficznej, widzimy go bowiem to w Rypińskim, Kaliskim i Częstochowskim, to w Konstantynowskim i Bialskim pow.

Rozpatrzywszy się w materiale zebranym przez p. K. Daniłowicza - Strzelbickiego, należy przyznać, że przedstawia on poważny dorobek naukowy dla nas, chociaż nie trzeba zapominać, że jest to dopiero cegiełka do budowy polskiej antropologii fizycznej. W Niemczech, Austrii itp. zrobiono już całe miliony takich pomiarów, nie upoważniających jeszcze do jakichś poważniejszych uogólnień. Pozwolę sobie także zwrócić uwagę na to, że w badaniu koloru oczów i włosów brak było, zdaje się, p. D.-S. metody przedmiotowej. Niewątpliwie można było uniknąć niejasnego podziału na typy ciemny i jasny, segregując materiał według np. tablicy barw, ułożonej, przez Pawła Broca, Topinarda i in.

Obok tablic opisanych wyżej wiszą mapy p. Adama Zakrzewskiego, przy których nie będziemy się zatrzymywać dłużej, albowiem praca szczegółowa w tym zakresie drukowaną była w tomie XV „Zbioru wiadomości do antropologii krajowej”. Zanotujemy tylko cyfry ważniejsze dla ułatwienia czytelnikowi porównania z poprzedniami. Z mapy wzrostu młodzieży popisowej w Królestwie Polskiem według gubernji widać, że najwyższa ludność zamieszkuje gub. Suwalską (1640 mm.), najniższa Piotrkowską (mniej niż 1.620 mm.), gdy przeciętna cyfra dla całego kraju równa się 1.620—1.625 mm. Jeżeli zaś rozpatrywać go według powiatów, to najwyższy wzrost przypada na pow. Sejneński i Augustowski 1.653—1.660, najniższy (1.610—1.614) na pow. Rawski, Częstochowski, Opatowski, Włoszczowski, Jędrzejowski, Kielecki i Stopnicki. Ciekawem jest zestawienie wzrostu młodzieży popisowej polskiej i żydowskiej w różnych cyrkulach Warszawy. Wzrost pierwszej = 1.642 do 1.666 mm., ostatniej = 1.610 do 1.637. Ta sama tablica zawiera porównanie liczebności głównych kategorii popisowych według wzrostu: liczba popisowych wzrostu niskiego wynosi: Polaków 181‰, Żydów 335‰, pośredniego: Polaków 272‰, Żydów 336‰, ponadśredniego Polaków 291‰, Żydów 222‰, wysokiego P. 256‰, Ż. 107‰, wogóle zaś wzrost średni Polaków wynosi 1.655 mm., Żydów 1.624 mm.

Należy jeszcze nadmienić, że praca p. A. Zakrzewskiego opiera się na bardzo licznych, bo aż 167.014 pomiarach.

D-r. Felicjan Suligowski z Radomia przedstawił tablice pomiarów antropometrycznych młodzieży gimnazjalnej odnośnie do wzrostu, objętości klatki piersiowej i jej rozszerzalności, wagi ciała, siły wzroku według tablic Junge'go, sładów krzywicy, przebytej w dzieciństwie na klatce piersiowej, powiększenia gruczołów limfatycznych na szyi oraz stanu zębów, zbadawszy 1130 uczniów.

Jest to praca ogłoszona jeszcze w r. 1887 ¹⁾; stanowiła ona wówczas bodaj zaledwie drugą pró-

¹⁾ Wzór wskaźnika piersiowego = *objętości piersi* podzielonej przez wzrost i pomnożonej przez liczbę 100.

¹⁾ „Medycyna,” lipiec, sierpień, wrzesień.

bę w danym kierunku (pierwszą pono była praca Dudrewicza „Pomiary antropologiczne dzieci warszawskich”). Później, o ile sobie przypominamy w r. 1889 dr. Jaszczynski badał uczniów gimnazjum IV i I. Obecnie antropometria dzieci i młodzieży przedstawia się wcale pokąźnie. Na pierwszym piętrze hali gimnastycznej znajdujemy 10 tablic D-ra Anny Tomaszewicz-Dobrowskiej, przedstawiających pomiary dzieci klas biednych warszawskich przed wyjazdem dzieci na kolonie letnie i po powrocie z tychże. Wiek badanych: lat 8 do 13. Nie możemy zatrzymywać się tutaj dłużej nad główniejszymi bodaj pozycjami, ogólnie tylko powiemy, że praca p. Tomaszewicz-Dobrowskiej przedstawia się, nadzwyczaj okazale. Cyfry wyrażone są w rozmaitych stosunkach i zestawieniach z niesłychaną pracowitością i sumiennością, a autorce nie obce są właściwe zasady metodologiczne.

Ten sam przedmiot obrał sobie do studjów dr. W. Kosmowski, dając nam na 12 tablicach graficzny obraz wyników badania wzrostu i wagi dzieci klas biednych w Warszawie. Praca ta ukazała się jeszcze w r. 1894, jako odbitka z „Medycyny” i zyskała zasłużone pochwały.

Nazwisk zatem mało, ale materiału dużo dał nam dział antropologiczny, przylepiony do sekcji statystyczno-meteorologicznej obecnej wystawy higienicznej. Należy jeszcze nadmienić, że urządzono także, zdaje się staraniem p. K. Daniłowicza - Strzelbickiego, w hali gimnastycznej rodzaj pracowni antropologicznej, zaopatrzonej w przyrządy antropometryczne, dostarczone przez firmę T. Szwabe z Petersburga. Są więc cyrkle Pawła Broca do głównych pomiarów czaszki i głowy na żyjących, jest przyrząd do brania kąta twarzowego Campera (metoda Broca), kraniofor Topinarda do brania pomiarów stosunkowych wysokości i szerokości czaszki. Dalej znajdziemy antropometr Pawła Broca do brania pomiarów na żyjących, osteometr do mierzenia długich kości itp. Byłoby pożądanem urządzenie np. przy tutejszem Towarzystwie lekarskiem stałej pracowni antropologicznej; jest to nawet jedynym z warunków rozwoju u nas omawianej gałęzi nauk.

B. KOSKOWSKI.

PODATEK OD WINA.

Wyrób i sprzedaż win krajowych dotąd nie podlega w Rosji interwencji ani reglamentacji państwowej. Kontrola rządowa ogranicza się pewnemi postanowieniami co do ochrony rośliny winnej od filoksery i innych pasorzytów, oraz dość wysokimi cłami, nakładanemi na wina zagraniczne. Natomiast wina krajowe akcyzy wcale nie opłacają, dzięki czemu przemysł winny w ciągu ostatnich lat rozwija się pomyślnie i równocześnie zwiększa się zapotrzebowanie win krajowych, na co bezwątpienia oddziało coraz to większe podnoszenie akcyzy od wódek, spiry-

tualji¹⁾ i piwa. Okazało się jednak, że równolegle z rozwojem gospodarstwa winnego wzrastała i „fabrykacja” win—bądź przy pomocy doboriania win prawdziwych, bądź wyrabiania owocowych i różnych mieszanin. W ostatnich zaś czasach zauważono znaczne zwiększenie wyrobu wina rodzenkowego²⁾, a to dzięki taniości rodzenków (korynki) i prostocie manipulacji.

Tak więc fałszowanie i wyrabianie win sztucznych (Moskwa, Warszawa, Wilno, Odessa) i wyzysk publiczności z jednej strony, z drugiej—obawa zastąpienia winem innych napojów mocniejszych, a obłożonych podatkiem (akcyzą), zniewoliły administrację podatków niestałych do przestudjowania warunków produkcji i sprzedaży wina, następnie do ustanowienia pewnego regulaminu opodatkowania tej gałęzi gospodarstwa. Wyznaczona specjalnie w tym celu komisja pod przewodnictwem prof. Mendelejewa wypracowała zupełnie wykończony projekt nowych przepisów, który w jesieni przedstawionym zostanie do zatwierdzenia rady państwa.

Zmiany dotyczyć będą tak zw. słabych napojów spirytusowych, t.j. napojów nie zawierających więcej nad 22° alkoholu (podług Trallesa). Napoje mocniejsze uważane być mają za zwykłe wyroby wódeczane, podlegające powszechnej ustawie akcyzy. Piwo nie ma zawierać więcej, niż 6° alkoholu i dodawanie spirytusu będzie wzbronionem. Kumys i kefir opłacać podatku nie będą.

Słabe napoje, ulegające banderolowaniu, dzielą się na 7 grup jak następuje:

Grupa I. Wina czyste, białe i czerwone, stołowe, deserowe i wytrawne, bez wszelkich domieszek; zawartość alkoholu—do 16°; banderola biała: $\frac{1}{4}$ kop. od butelki ($\frac{1}{16}$ wiadra.)

Grupa II. Wina mocy od 16—22°, do których dodano: 1) winnego spirytusu niewięcej nad 4°—banderola czerwona: 2 kop. od butelki; 2) zgęszczonego soku winnego, cukru krystalicznego i nie więcej nad 4° jakiegokolwiek spirytusu—byle nie winnego—banderola czerwona: 4 kop. od butelki.

Grupa III. Półwina. 1) Wino stołowe z domieszką do 4° spirytusu winnego, byle zawartość alkoholu nie przewyższała 12°—banderola niebieska: 1 kop. od butelki. 2) Wina z domieszką wszelkich innych spirytusów i cukru, nie mocniejsze nad 12°—banderola niebieska: 2 kop. od butelki. 3) Takież wina mocniejsze (12—16°)—banderola niebieska: 4 kop. od but.

Grupa IV. Czyste wina owocowe, otrzymywane z fermentacji soku owocowego; zawartość alkoholu nie większa nad 6°—banderola biała bezpłatna.

Grupa V. Miód, otrzymywany z fermentacji wodnego roztworu miodu pszczełnego bez jakichkolwiek domieszek, mocny do 16°—banderola biała, również bezpłatna.

1) Akcyza od spirytusu dziesięciokrotnie przewyższa wartość sprzedażną produktu.

2) Używane przez żydów w czasie świąt paschy i kuczek.

Grupa VI. Wszelkie napoje spirytusowe nie musujące mocy 3 — 22°, nie zaliczone do poprzednich grup: 1) od 3—12° alkoholu—band. zielona 5 kopiejkowa; 2) 12—16° band. zielona 7 kop.; 3) 16—22° band. zielona 15 kop.

Grupa VII. Wina i inne napoje musujące: 1) wina naturalne bez domieszek, w których gaz rozwija się przy „robieniu” w butelkach kosztem cukru zawartego w soku,—banderola biała 5 kop.; 2) wina czyste, w których gaz rozwija się dzięki dodatkowi około 3% cukru na wagę,—banderola czerwona 10 kop.; 3) wina musujące sztucznie — band. niebieska 10 kop.; 4) wszelkie inne musujące napoje, wyżej nie wymienione: banderola zielona 15 kop. od butelki.

Kontrola urzędowa ma być oparta na następujących zasadach. Wyrób win I grupy nie ulega kontroli. Co do win II grupy, to producent obowiązany będzie zawiadomić miejscowy zarząd akcyzy o zamiarze wyrobienia wina mocnego i w jakiej ilości. Produkcja III kategorii win (półwin) byłaby ściślejszemu dozowaniu tylko wtedy, gdyby fabrykant zechciał, aby spirytus i cukier dodawane do wina były zwolnione od opłaty akcyzy; w takim razie domieszka musiałaby być czynioną wobec urzędnika akcyzy. Wyrób napojów IV i V kategorii nie będzie wcale dozowanym. Pędzenie win VI i VII grupy będzie dozwolane tylko w odpowiednich fabrykach, dozowanych przez urząd akcyzowy.

Dla wytworzenia miejscowych typów win, będzie wzbronione nazywanie win po cudzoziemsku, jako to Xeres, Lafitte, Portwein itp., nawet z dodatkiem „à la”. Będzie można oznaczać na etykietach tylko firmę i miejsce pochodzenia wina, lub też miejscową markę prawdziwą. Wina dobierane będą zaopatrzone w etykietę ze skromną nazwą ogólną, jak naprzykład, „czerwone”, „białe”, „stołowe”, „wytrawne” itp. Na butelkach ze sztucznymi napojami będzie widoczny napis „spirytusowy napój sztuczny”.

Wobec ścisłych przepisów dla win rosyjskich uznano za konieczne poddać reglamentacji i zagraniczne wina etykiety ich będą musiały być zgodne ze świadectwami, towarzyszącymi winom z zagranicy (certificats d'origine).

Jak widać z powyższego projektu, reforma dąży nie tyle do celów fiskalnych, wobec niskich norm opodatkowania, ile do uporządkowania wyrobu i sprzedaży odpowiednich napojów.

Projekt reglamentacji wzorowany jest na przepisach, obowiązujących we Francji i w Anglii, gdzie napoje, przeznaczone do spożycia na miejscu, ulegają ścisłej kontroli, natomiast wina, wysyłane zagranicę, traktowane są znacznie pobłażliwiej.

WITOLD GRABOWSKI.

ODEZWA

w kwestji statystyki studjów kobiecych.

Ruch kobiecy w kierunku wyższych studjów datuje od lat przeszło trzydziestu; w okresie tym kobiety stopniowo uzyskiwały prawo wstępu do pięciu uniwersytetów szwajcarskich, dwóch francuskich (Paryż i Montpellier) oraz do wszechnicy brukselskiej. Od roku 1866, tj. od czasu, gdy po raz pierwszy spotykamy nazwisko studentki w spisach uniwersytetu zürichskiego, w samej Szwajcarii przeszło 1.660 kobiet ukończyło lub prowadzi jeszcze studia. Na tle tej liczby, w skład której wchodzi przedstawicielki prawie wszystkich narodowości europejskich, Polki wydzielają się grupą, wynoszącą blisko 12% całości. Wartość względna tego stosunku okaże się zresztą znacznie wyższą, gdy weźmiemy pod uwagę, że dążenie kobiet do studjów uniwersyteckich opóźniło się u nas prawie o dziesięć lat w porównaniu do innych krajów. Wprawdzie pierwsza studentka Polka ukazała się już w r. 1870/71, ale właściwy ruch w tym kierunku rozpoczyna się dopiero w latach 1876 — 77.

Dwadzieścia lat upływa od tego czasu. Ruch, który w początkach istnienia liczył w swych szeregach zaledwie jednostki, mimo przeszkód, stawianych mu przez opinię, mimo trudności, wynikających stąd, iż nauki trzeba było szukać na dalekiej obojętnie, rozwijał się powoli lecz stale, wzrastając liczebnie i z biegiem lat nabierając w coraz to wyższym stopniu cech ciągłości. Cechy te stwierdza przedewszystkiem fakt, iż coroczny napływ nowych studentek znacznie przewyższa ilość czy to kończących, czy to przerywających studia. Wytrzymawszy próbę przeciwności i czasu, ruch kobiecy u nas w jego stadium obecnym może już z kolei stać się probierzem teorii, sprzyjających lub przeciwnych równouprawnieniu kobiet na polu pracy naukowej. Dziś, gdy jego historia znana jest zaledwie w swych najogólniejszych zarysach, głosy „za” i „przeciw” opierają się tylko na mniej lub więcej głośliwych twierdzeniach. Dokładne zbadanie stanu rzeczy zapobiegłoby skutecznie dyletanckiemu traktowaniu kwestji; siła faktów zdyskredytowałaby wtedy z konieczności jedne opinie na rzecz drugich i przyczyniła się w znacznej mierze do uproszczenia poglądów.

Oprócz tego względu nasuwa się inny, szerszy natury.

Każde zjawisko jest tylko formą zewnętrzną, w której ujawnia się działanie pewnego kompleksu sił. Ukazanie się nowego zjawiska wskazuje fakt, iż stosunek sił, działających w danym układzie, uległ pewnym zmianom. Stałość zjawiska jest w tym razie miarą stałości i głębokości zmian; jego charakter określa ich naturę.

Dla społeczeństwa nie mogą być obojętnymi zmiany, zachodzące w jego łonie. Nie może ono milczeniem pomijać pytania: jakim jest ich źródło i zakres i czemu siły, działające dawniej w pewnym kierunku, rzeźbią sobie obecnie inne łożysko. Odpowiedź na to pytanie jest kwestją świadomości społecznej, świadomość zaś jest owym czynnikiem, który człowiekowi podaje do ręki ostatnie ogniwo

przyczynowego łańcucha i pozwala—choć w części—celowo pokierować danem zjawiskiem.

Jest faktem uznanym, iż dążenie naszych kobiet do wyższych studjów fachowych i ogólnych wskazuje głębiej leżące przyczyny i spornie bywa rozstrzyganą tylko kwestja charakteru i doniosłości tych przyczyn. Sądźmy, iż zbadanie zjawiska samego w sobie oraz stwierdzenie jego stosunku do niektórych innych, zachodzących współcześnie, rzuci niejaki światło i na same przyczyny i, jeśli nie wyjaśni ich w całości, to przynajmniej wskaże kierunek, w którym winny być prowadzone dalsze poszukiwania.

W tym celu podejmujemy dziś pracę przeprowadzenia statystyki studjów kobiecych zagranicą. Dostęp do źródeł oficjalnych, jako to: spisy uniwersyteckie, wykazy udzielonych stopni naukowych, w znacznej mierze ułatwia nam zadanie. Ale źródła te grzeszą niekiedy brakiem dokładności, równocześnie zaś nie mogą zawierać wszystkich potrzebnych informacji. Dlatego też niniejszem zwracamy się do wszystkich studentek Polek, które czy to ukończyły, czy przerwały studia, z prośbą o odpowiedź na następujące pytania:

1. Miejsce pochodzenia.
2. Zajęcia rodziców.
3. Zajęcia przed rozpoczęciem studjów.
4. Stopień przygotowania (patent, studia przygotowawcze samodzielne).
5. Data wstąpienia i wystąpienia.
6. Miejsce studjów.
7. Wydział.
8. Stopień naukowy.
9. Zajęcia po ukończeniu.
10. Przyczyny ew. przerwy w studiach.
11. Stan cywilny (z wzmianką, czy ew. za mążpójście miało miejsce przed, czy po wstąpieniu na uniwersytet)

Z załączonych pytań wynika, że, oprócz ilościowego stanu ruchu kobiecego u nas i jego rezultatów bezpośrednich, zamierzamy uwzględnić:

- a. jego sferę geograficzną i społeczną (1, 2),
- b. stosunek do wykształcenia średniego (4),
- c. charakter, wynikający z wzajemnego stosunku studjów fachowych do ogólnych,
- d. stosunek do instytucji rodziny.

Zebranie i usystematyzowanie tych danych pozwoli następnie wyciągnąć z nich wnioski ogólne.

Ufamy, że nasze przedsięwzięcie zainteresuje tych wszystkich, których obchodzi wyjaśnienie tego przyczynku do „kwestji kobiecej” w naszym społeczeństwie; ufamy, że nie odmówią nam swej pomocy te jednostki, które czynny przyjmowały udział w stwarzaniu ruchu emancypacyjnego u nas. To też kończymy wyrazami nadziei, iż odezwa nasza nie pozostanie bez echa.

E. Czyżowska. M. Goldflus.

Z. Bassak.

Odpowiedzi uprasza się nadsyłać pod adresami:
M-lle Sophie Bassak, Genève, 38, rue de Carouge.
M-lle Mathilde Goldflus, Genève, Université, Laboratoire de Botanique.

Z OBCEGO ŚWIATA.

Przegląd polityczny.

Anglja rozpoczęła swoją wyprawę sudańską zwycięstwem. Pod wodzą głównodowodzącego wojskami egipskimi syrdara Kitchenera wojsko angielskie pobiło na głowę derwiszów pod Firket, a następnie zdobyło Akaszeh i Suarde. Zabrano dwa obozy z zapasami żywności, wielu jeńców, a na placu boju pozostało przeszło tysiąc derwiszów. Tym sposobem panowanie nad Nilem i budowa kolei do Akaszeh są zabezpieczone.

Równocześnie niemal z tem zwycięstwem wyszło pośrednie potępienie wyprawy sudańskiej ze strony trybunału mieszanego w Kairze. Postanowił on, że pieniądze, wzięte z kasy długu egipskiego na wyprawę do Sudanu, zostały wzięte nieprawdnie i wydał wyrok, skazujący Anglję na zwrot tejże sumy, na zapłacenie procentu w stosunku 5% i kosztów sądowych. Zanim Anglja do wyroku tego się zastosuje, dużo jeszcze zapewne wody w Nilu upłynie. W każdym razie wyrok musi być jeszcze potwierdzony przez trybunał apelacyjny.

Radykali angielscy nie są zadowoleni z tej awanturki—zdaniem ich—wyprawy. Była ona przedmiotem interpelacji w Izbie Gmin ze strony Labouchère'a i Morley'a. Domagali się oni wyjaśnienia co do stosunku z Niemcami i Włochami, zarzucając, że w danym wypadku Anglja odgrywa rolę ręki, wyciągającej gorące kasztany z ognia dla Włoch. Wyjaśnienia nie otrzymali; podsekretarz stanu Curzon odpowiedział, że w sprawie Sudanu nie porozumiewał się z Niemcami, a co do Kassali i Erytrei, to korespondencja dyplomatyczna do czasu musi pozostać w tajemnicy. Cała ta rozprawa nie jest pozbawiona śmieszności, bo w wysokim stopniu śmieszna jest ta Anglja, strojąca się w płaszczyk bezinteresowności; jeżeli Kassalla jej się dostanie, to biedne Włochy zapłacą cały rachunek za rozszerzenie panowania potęgi angielskiej.

Od strony południowej Afryki również pomyślnie mamy do zanotowania wiadomości. Rokosz Matabelesów stłumiony. Prezydent Krüger ułaskawił wszystkich skazanych w procesie o zdradę stanu. Nawet ci, którzy skazani zostali na śmierć, są wypuszczeni na wolność pod warunkiem, że złożą karę pieniężną w wysokości 10 tysięcy funtów szterlingów. Radość ztąd w Anglii ogromna; popularność Krügera wzrosła niezmiernie.

Interpelacje socjalistów w Izbie francuskiej w sprawie zabronienia manifestacji na grobach komunistów i translokacji prefektów pozostały bez skutku: rząd otrzymał przy tej sposobności ogromną większość 415 głosów przeciw 64. O ile mu na to pozwalają jego przekonania, gabinet Méline'a idzie w ślady poprzedniego rządu. Minister spraw zagranicznych Hanotaux poszedł nawet dalej od swego poprzednika w sprawie Madagaskaru, ogłosił bowiem wyspę tę za kolonię francuską. W sprawie podatku od dochodu minister finansów ogłosił projekt dosyć niewyraźny i połowiczny, który nikogo z pewnością nie zadowolni i prawdopodobnie nie przejdzie.

W Brukseli, z okazji przyjazdu ks. Filipa orleańskiego, odbył się zjazd wybitnych francuskich monarchistów, na którym jakoby szczegółowo została ułożona taktyka stronnictwa na przyszłość. Trudno w to uwierzyć, bowiem zjazd trwał tylko jeden dzień. Rząd francuski zwrócił uwagę rządu belgijskiego na te knowania antypaństwowe; ks. Filipowi delikatnie dano do zrozumienia, aby opuścił Brukselę, co też i uczynił. Tak to król bez królestwa równym jest zwykłemu politycznemu wygnańcowi.

Separatystyczne dążności, które zawsze nurtują głęboko w południowych Niemczech znalazły głośny wyraz w Moskwie. Na bankiecie kolonji niemieckiej kupiec Camesco (?) wznosił dwa toasty: pierwszy na cześć cesarza Wilhelma oraz drugi na cześć książąt niemieckich, znajdujących się w orszaku jego reprezentanta ks. Henryka pruskiego. Na to niezwłocznie wstał ks. Ludwik bawarski i z widocznym rozdrażnieniem oświadczył, że książęta niemieccy nie są *wasalami*, ale *sprzymierzciami* cesarza; jako tacy proklamowali cesarstwo w Wersalu i jako tacy przybyli do Moskwy na uroczystości koronacyjne.

W Budapeszcie rozpoczęły się uroczystości tysiącolecia: odbył się pochód historyczny, uroczyste posiedzenie obu Izb w nowym parlamencie itd. Dały one powód do jednego w swoim rodzaju wystąpienia wiceburmistrza Wiednia d-ra Luegera. Na zebraniu ludowem oświadczył on literalnie, że każdy Austriak, jadący na uroczystości do Budapesztu, jest łajdakiem. Zebranie ludowe zostało rozwiązane, ale teraz ciekawy będzie dalszy ciąg tej historii. Wogóle antysemita robią dużo bałasu. Byli oni przedmiotem interpelacji w parlamencie w sprawie niedopuszczenia żydów do wydziału rady miejskiej. Hr. Badeni odpowiedział bardzo słusznie, że nie może walczyć z antysemitami na drodze extra-legalnej; skoro nie popełnili oni nie przeciwnego ustawie, rząd przeciw nim występować nie może.

Zarówno mowa tronowa cesarza, jak i mowa hr. Gołuchowskiego na zebraniach delegacji wspólnych miały zabarwienie pokojowe i optymistyczne; zresztą jak wszystkie podobne mowy były nicnieznaczące. Wspólny minister spraw zagranicznych otrzymał votum zaufania.

Włochy wysyłają trzy poselstwa do Menelika w sprawie jeńców włoskich. Pierwsze z nich półurzędowe i niejako duchowe pochodzi z Watykanu; wikariusz koptyjski Macario jedzie do Menelika z własnoręcznym listem papieża, z prośbą o uwolnienie jeńców. Inicjatywa ta wywołała bardzo dobre wrażenie, któremu wyraz dał Rudini w przemówieniu swoim w Izbie. Odwzajemniając się za to, Leon XIII kazał znowu wciąść pod rozagę sprawę uczestniczenia katolików w wyborach politycznych. Zład snują już niektórzy wnioski, że przyszłe wybory odbywać się będą pod hasłem pojednania z Watykanem. Tak, czy owak, odbędą się one prawdopodobnie na jesieni, chociaż gabinet zmuszonym do nich nie jest. Z nieobecnych na posiedzeniu posłów 64 oświadczyło, że w razie obecności byłiby głosowali za rządem.

Druza wyprawa d-ra Nerazinni'ego ma na celu dostarczenie jeńcom odzieży, lekarstw i środków wzmacniających. Karawana ta na granicy Erytrei

oddaną zostanie w ręce rasa Makonnena, gdyż Menelik nie pozwolił na widzenie się członków karawany z jeńcami. Wreszcie dr. Ilg, Szwajcar, zaufany Menelika z poprzedniego swego pobytu w Abisynji zawozi ostateczny projekt pokoju, ułożony przez rząd włoski. Włochy zrzekają się w nim protektoratu i pozwalają Abisynji oddać się pod protektorat innego mocarstwa (o ten warunek — jak wiadomo — rozbiły się ostatnie rokowania), wreszcie podejmują się opłacenia kosztów utrzymania więźniów i ich transportu do Erytrei, byle tylko nareszcie zostali ojczyźnie zwrócenii.

Ówiezo wydane pamiętniki kapitana Bassi'ego i gien. Arimondi'ego zdzierają znowu zasłonę ze smutnych przejść wojsk włoskich w Afryce. Niedolestwo, brak rzeczy pierwszej potrzeby, fatalne intendentura, rozprężenie, choroba nerwowa naczelnego wodza — przesuwają się przed nami, jako powody nieuniknionej klęski. Sprawca jej częściowy stoi przed sądem w Massawie i broni się, jak umie i jak może. Czy go skazą, czy go uniewinnią, zawsze jest to „człowiek w morzu.” Uniewinniający wyrok nie zmyje z jego czoła znaku, wypiętnowanego przez opinię publiczną, która klęski, zarówno jak powodzenie lubi sobie uzmysławiać w jednej osobie. Jak furje piekielne przez całe życie ścigać go będą głosy: oto ten, który honor ojczyzny zaprzepuścił, który naszych braci, synów, mężów na pewną śmierć posłał! Zaprawdę, niż tak żyć, lepiej byłoby umrzeć.

Jedna z niezliczonych tragedji wschodnich odgrywa się znowu teraz na Krecie, ale głównym aktorom stanowczo brak pomysowości. Weźmy zdarzenia z przeszłej jesieni, podstawmy wszędzie zamiast Armenji i pochodnych przymiotników Kretę, zamiast Zejtunu — Wamos, a otrzymamy tym sposobem historję obecnych zdarzeń. Przyszłe też łatwo tym samym sposobem przewidzieć, dopóki Europa nie zdoła się na likwidację hańbiących rządów tureckich. Zresztą wszystko pozostało to samo. Czytamy w telegramach: konsulowie mocarstw naradzają się (ho! ho!); okręty flot wszystkich państw wypłynęły na wody kreteńskie (co to z tego będzie!); ambasadorowie robią przedstawienia Wielkiej Porcie (no, teraz już interwencja pewna) — a rezultat? Tuziny papierowych obietnic dyplomacji tureckiej, które nigdy nie wchodzi w wykonanie. Korespondenci pism z Konstantynopola powinni sobie zrobić stałe telegraficzne klisze, w których w miarę potrzeby zmienianoby tylko nazwiska.

Jak w szekspirowskiej tragedji stanowi powyżej powiedziane żywioł komiczny. Ale jakże głęboko tragicznym jest los tych biednych prześladowanych chrześcijan, te heroiczne porywy, tłumione ogniem i mieczem. Zawsze ufni w pomoc swych współwierców, walczą oni o prawo bytu i zawsze padają pod ciosami przemocy. Chrześcijańska Europa głuchą pozostaje na ich wołania. *wl.*

Z RÓŻNYCH STRON.

Z pow. Łaskiego (kor. „Głosu”). Z gminą Zduńsko-wolską, opisywaną przezemnie poprzednio, graniczy gm. Pruszkowska, leżąca już w pow. Łaskim

w gub. Piotrkowskiej. Topografia tego zakątka jest podobną do topografii gminy Zduńsko-wolskiej. Dopływ rzeki Warty, rzeka Grabia, przerzyna tu nizinę o glebie łęgowej, przeważnie piaszczystą. Podkład stanowi margiel zielankowy nieprzepuszczalny, dość gęsto przeplatany rudą żelazistą; tylko umiejętnie odprowadzanie wód chroni zboże od gnicia, i w każdym razie rok suchy jest tu pożądany. Mieszkańców stałych liczy gmia: mężczyzn 1764, kobiet 1865; niestałych: mężczyzn 97, kobiet 81, razem 3807. Obszar ziemi w obrębie gminy wynosi 7.000 morgów, w czem większej własności jest 4343 m., mniejszej — 2657 m. Dworów liczy gmina 15; szkół elementarnych dwie. — Do szkoły w Pruszkowie uczęszcza: chłopców 30, dziewcząt 40; do szkoły w Okupiu: chłopców 35, dziewcząt 25. Jedno więc dziecko uczące się przypada na 33 osoby. Nauczyciel w Pruszkowie pobiera 210 rs., nauczyciel okupski — 150 rs. Oświata nie robi wielkich postępów. Karczem w gminie jest cztery i wszystkie obsadzone katolikami; na 3807 dusz to niezbyt wiele. W wsi Marzeninie znajduje się kościół murowany, porządnie utrzymywany, lecz na parafję liczącą 3000 dusz, cokolwiek za ciasny. Cmentarz grzebalny murem kamiennym ogrodzony i obsadzony drzewami; zużyto nań wydmy piaszczystą, zasypującą zasiewy dookoła lotnym piaskiem. Dzieło to stanowi zasługę poprzedniego proboszcza tej parafji. Biejącą wodę dopływów Warty umiano starannie zużytkować, istnieje bowiem w gminie sześć młynów wodnych. Zbyt mlewa jest dość utrudniony, z powodu dowozu mąki z Cesarstwa. Od niejakiego czasu zwrócono tu produkcję rolną ku mleczarstwu i tuczeniu zwierząt; sądzę, że zwrot ten jest racjonalny wobec gruntów odpowiednich pod rośliny pastewne, i wobec pastwisk łęgowych. Komunikacja nie jest jeszcze dostatecznie ułatwioną. Do szosy, wiodącej od Kalisza do Piotrkowa i Łodzi, prowadzą drogi albo piaszczyste, albo bagniste w czasach dżdżystych; a mosty i mostki utrzymywane są wedle tradycji dawnej; częstokroć obok mostów, podobnych do klawiatury, trzeba jechać przez rozlane strumienie, z wielkiem udręceniem koni i ludzi. Ludność; wiejska jest ta sama, co w gminie Zduńsko-wolskiej; ten sam czysty typ plemienia mazurskiego, pojętny, sprawny, wesół. Na swych działkach włościanin gospodaruje nieźle, naśladowując folwarczną robotę w polach, przemianę roślin i sposób sprzętu, wiązania zbóż w lalki, marnotrawi przecież dużo czasu na jarmarkach i targach, których nigdy nie opuszcza. We wsi Bilewie zamieszkuje wielu złodziei; corocznie kilku z nich odsiaduje więzienie, Sąsiednie wioski zapraszają złodziei bilewskich na wesela dla bezpieczeństwa; uczestnicy zabawy mogą w takim razie opuszczać chaty z tem przeświadczeniem, że nie im nie zginie. Niedawno jedna z gospodyń na weselu wyraziła obawę o swój dobytek; na to gość bilewski odezwał się — a czy mnie tu niema! Uspokoilo to kobietę. Ludność Bilewa gospodaruje na bardzo małych działkach, w lichej glebie położonych; nędza tam panuje ogromna, a rzemiosło złodziejskie od biedy nie ratuje, bo grosz idzie w karczmie na marne. A.M.

Radom (kor. „Głosn“). W liczbie urządzeń społecznych naszego miasta niepoślednie miejsce ze

względu na pożytek, jaki może przynieść ogółowi, zajmuje Czytelnia bezpłatna dla rzemieślników i niezamożnych mieszkańców miasta Radomia. Założona w roku 1889, życie swe zawdzięcza głównie p. Karolowi Hofmanowi, który potrafił jakoś rozbudzić pewne zainteresowanie się społeczeństwa losem Czytelni, kładąc wiele mozołu i energii w zwalczanie panującego prawie wszędzie na prowincji odrętwienia umysłowego i bojaźni nowatorstwa. Dzięki jego pracy Czytelnia, pierwszych 5 lat pod jego kierownictwem, rozwinęła się bardzo pomyślnie, korzystając, oprócz ofiar w książkach i datkach pieniężnych, składanych przez mieszkańców m. Radomia, z poważniejszych zapomóg, płynących z koncertów i teatrów amatorskich, urządzanych od czasu do czasu staraniem p. Hofmana. Opuszczając w roku 1894 Radom, p. H. oddaje swe odchowane już dziecko (2800 dzieł różnych, nie licząc pism periodycznych) opiece miejscowego Towarzystwa Dobroczynności, i Czytelnia wstępuje w nowy okres swego istnienia, służąc dalej czytającemu ogółowi miasta z pożytkiem. Ze sprawozdania za rok 1895, ogłoszonego przez zarządzającego Czytelnią, p. Tadeusza Wędrychowskiego, widzimy, że w dniu 1 stycznia r. b. Czytelnia, oprócz pism i wydawnictw periodycznych, posiadała 2896 dzieł (cyfrę tę należy zmniejszyć o 111 dzieł), w części ($\frac{3}{4}$) wycofanych z użycia skutkiem zupełnego zniszczenia książek, w części zaś ($\frac{1}{4}$) niezwróconych w ciągu ostatnich dwu lat przez czytelników), liczyła 390 uczestników stałych i miała do rozporządzenia w gotowiznie rs. 218 kop. 86. Stan funduszy Czytelni w roku 1895 przedstawiał się jak następuje: *Dochód*: Opłaty wpisowego rs. 26 k. 77, sprzedaż katalogów rs. 13 k. 60, dobrowolne ofiary wraz z karami za przetrzymanie książek dłużej niż miesiąc rs. 34 k. 50, otrzymane z dwu przedstawień opery „Bojimir i Wanda“ rs. 592 k. 97, inne drobne wpływy rs. 5 kop. 29, razem rs. 673 k. 11, co łącznie z pozostałymi z roku poprzedniego 5 rs. 96 kop. stanowi rs. 679 kop. 7. *Wydatki*, Lokal z opałem, światłem i usługą rs. 167 k. 33, kupno nowych książek rs. 107 kop. 69, prenumerata pism rs. 29 kop. 77, oprawa książek rs. 102 kop. 69, przeniesienie Czytelni i wydatki kancelaryjne rs. 47 kop. 63, ubezpieczenie Czytelni od ognia rs. 5 kop. 10, razem rs. 460 kop. 21. W ciągu roku sprawozdawczego Czytelnia otwartą była na użytek uczestników 195 razy; w tym czasie wydała 10185 tomów (w roku poprzednim 7729), przecięciowo więc na każdego czytelnika wypada 26 tomów, maximum dosięga cyfry 110, minimum 10; uczestników, czytających mniej więcej jeden tom tygodniowo było około stu. Za dowód zainteresowania się naszego czytającego ogółu różnemi kwestjami mogą posłużyć cyfry wydanych tomów dzieł: naukowych i popularno-naukowych 268, moralno-religijnych 66, dla młodzieży 320, beletrystycznych, włączając i utwory poetyckie 625, roczników periodycznych z lat ubiegłych 730. Największą poczytnością cieszyły się: rozprawa W. M. Dębickiego: „Postęp, szczęście i przewroty społeczne“, mająca 18 czytelników, tegoż „Nieśmiertelność człowieka“ — 4, Flamariona „Niebo“ — 7, Krafft Ebanga „Nasz wiek nerwowy“ — 6, Taina „Francja przed rewolucją“, „Zarysy Anglii“, Libelta „Filozofja i krytyka“, Falba „Gwia-

zdy i ludzie," Streislera „Początki cywilizacji" — i Richarda „Kosmogonja" — po 3 czytelników. Z beletrystyki: Sienkiewicza „Ogniem i mieczem" — 72 „Potop" — 86, „P. Wołodjowski" — 33 Prusa „Lalka" — 26, Kraszewskiego „Na królewskim dworze" — 21; „Rodzina Połanieckich" i Rogosza „Grabarze" — po 18 czytelników; „Veto" Krechowickiego i „Drugie pokolenie" Gawalewicza — po 17, „Bez dogmatu" — 16; „Motory życia" Rogosza i „Rycerz chrześcijański" Jeża po 15; „Nafta" Sewera — 11; „Filistry" Gawalewicza — 10, „Emancypantki" Prusa 7 czytelników. — Z usług Czytelnicy korzystają przeważnie rzemieślnicy (w roku sprawozdawczym na 390 uczestników na klasę rzemieślniczą przypada 228), dalej idą drobni kupcy, oficjaliści prywatni, urzędnicy, emeryci itp. Z krótkiego tego zarysu działalności radomskiej Czytelnicy bezpłatnej widzimy, że obowiązek dostarczania materiału czytającemu ogółowi pełni ona w miarę swych sił; skromność środków, jakimi rozporządza, nie pozwala jej jeszcze stanąć na tym stopniu rozwoju, aby mogła zupełnie odpowiedzieć celowi swego założenia — nie tylko bawić czytających, ale i uczyć. Tu przede wszystkim uczuć się daje brak katalogu, grupującego książki na działy, a więc dopomagającego do systematycznego czytania dzieł w pożądanym kierunku. Uzupełnienie tego braku możemy polecić uwadze miejscowego Towarzystwa dobroczynności, pod którego opieką, jak się wyżej rzekło, pozostaje obecnie nasza Czytelnia bezpłatna.

W. W.

Z zagranicy.

Lwów (kor. „Głosu"). Znowu wypada mi pisać o lwowskiej Radzie miejskiej, która nareszcie została w całości wybrana. Z dawnego jej składu zostało 73 członków, nowych wybranych 27, z których rzeczywiście pożytecznym nabytkiem jest prof. Głabiński, dalej prof. Pawlewski i p. Terenkoczy; pierwszy z nich prof. ekonomii w uniwersytecie, jeden z najsympatyczniejszych dla młodzieży, daje wraz z prof. politechniki Pawlewskim rękojmię, że będzie bronił każdej myśli postępowej a p. Terenkoczy, dyrektor tow. zaliczkowego i gorliwy członek związku tego rodzaju stowarzyszeń jest to człowiek pracowity, zdolny i gruntowny, który w niejednej kwestji, wynikłej, dajmy na to, z owej 10 — milionowej pożyczki, najważniejszego zadania Rady w najbliższym trzecieciu, może bardzo się przydać. Przy ostatnich wyborach przejawiał się we Lwowie pewien prąd antysemitki, który sprawił, że z 18 radnych Żydów pozostało tylko 12 — stu. Walka była tu gorąca, najsilniejsza przy samym końcu wyborów, przy wyborach ścisłych i uzupełniających. Co do zajęć jest w nowej radzie 15 profesorów szkół wyższych, 4 — ze szkół średnich, 9 adwokatów, 7 urzędników bankowych, 4 państwowych, 7 architektów, 6 lekarzy, 2 księży unickich, 1 ksiądz łaciński, 1 pastor ewangelicki, 1 aptekarz, 1 weterynarz i 1 rabin. Reszta przypada na mieszczan. O walce wyborczej celem obioru prezydenta miasta dodam do tego co pisałem już dawniej, że, wobec wymienionych wyłaniających się kandydatów prof. uniwersytetu Pięta, adwokata Marjańskiego, lekarza Strojnowskiego, a nawet (wbrew podobno woli kandydata) Marchwickiego, dy-

rektora wystawy z r. 1894. kto wyjdzie trudno przesądzać, tembardziej zwłaszcza, że walka odbywa się za kulisami, w kawiarniach i restauracjach, gdzie się zwykle we Lwowie „robi polityka." — Z powiatu samborskiego donoszą że w ubiegłym kwartale prokuratorja samborska wniosła trzydzieści kilka aktów oskarżenia o lichwę przeciw pijawkom, które stale i bez litości lichwą gnębiły lud górski. Dziesięciu oskarżonych skazano na więzienie od 2 tygodni do 1 roku i grzywny od 100 do 2000 złr. W ohydnych tem zdzieraniu ludności oszczędnili się jak zwykle, sami Żydzi, których nazwisk (litanię całej) nie powtarzam, dodam tylko jeszcze, że władza sądowa pow. Samborskiego może wciąganiu lichwy służyć za wzór władzom innych powiatów. Ożywiona dyskusja w dziennikach wywołała nienormalne stosunki panujące w 30 pułku piechoty, stojącym obecnie we Lwowie. Na stosunki te zwróciły uwagę powszechną samobójstwa, których zdarzyło się w tym pułku od 1 stycznia br. sześć, z tego trzy w ciągu ostatnich kilku tygodni. Ostatni z kolei i najświeższym było samobójstwo słuchacza techniki, odbywającego jednoroczną służbę, a srodze i systematycznie prześladowanego przez porucznika. — Z powodu, że w przyszłym roku szkolnym (a więc od września) mundurki zaprowadzone niedawno w szkołach, mają już powszechnie obowiązywać, podają obliczenie, że, na 520 uczniów tamtejszego gimnazjum, 297 nie jest w stanie z powodu wielkiego ubóstwa, sprawić sobie mundurków. W niektórych miastach n. p. w Łodzi powstają już stowarzyszenia, aby biednej młodzieży przyjść w tym kierunku z pomocą, a szeroką akcją rozwija tu inteligencja ruska, czy jednak ta akcja wystarczy? — Posłem sejmowym z Tarnopola wybrany został minister Ritner. Opozycja postąpiła sobie w sposób tak dziwaczny, że trudno zrozumieć jak się mogła na taki krok zdecydować inteligencja miejska: mniejszość dla zmanifestowania stanowiska, swego zamiast forsować kandydata swego, wstrzymała się od głosowania.

J. A. S.

KRONIKA POWSZECHNA.

Projekty i rozporządzenia rządowe. *Nowosti* donoszą, iż w tych dniach zaaprobowany został projekt przyjmowania do asekuracji dobrowolnej od ognia majątków włościan, które na zasadzie obecnie obowiązujących przepisów wylączone są od asekuracji gubernjalnej. Dla gubernji Królestwa Polskiego projekt nowej ustawy o asekuracji wzajemnej został już opracowany. — Według informacji *Kraju* komisja zgodziła się na wprowadzenie w Królestwie Polskiem rady adwokatów przysięgłych z pewnemi zmianami w myśl propozycji prezesa izby sądowej warszawskiej. — Jak donoszą *Birż. wied.* ministerjum spraw wewnętrznych opracowało i rozestawiło do opinii towarzystw asekuracyjnych projekt reformy sprawozdań rocznych tychże towarzystw. Projekt ma na celu ochronę interesów osób ubezpieczonych i będzie zastosowany w skróconej formie i do towarzystw ubezpieczeń od ognia. — Do ministerjum sprawiedliwości nadeszły odezwę od zarządów ministerjalnych w sprawie skasowania tak zwanych zesłań administra-

cyjnych na Syberję. Niezadługo projekt ma być przedstawiony radzie państwa.

Kronika społeczna. Krakowskie Towarzystwo sztuk pięknych liczyło w roku ubiegłym 4.150 członków zwyczajnych, tj. nabywców akcji rocznych po 5 złr. Na zakupienie dzieł sztuki, przeznaczonych do rozlosowania, wydano kwotę 8.280 złr.; na nagrody konkursowe 1.070 złr. Dochód z opłat wstępu na wystawę w porównaniu z rokiem poprzedzającym podniósł się o 780 złr. — Lwowskie ochotnicze Towarzystwo ratunkowe udzieliło w maju r. b. pomocy 230 razy. Liczy ono członków czynnych 12, wspierających 252. — Wedle ostatnich obliczeń Lublin liczy 48.157 mieszkańców stałych, a w tej liczbie 22.400 mężczyzn i 25.757 kobiet; co do wyznań: prawosławnych 2.994, katolików 20.698, ewangelików 90, żydów 23.535. Niestających mieszkańców posiada Lublin 14.544, a więc razem Lublin liczy 62.701 mieszkańców. — Pierwsze posiedzenie delegacji dąbrowskiej sekcji górniczo-hutniczej warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu odbyło się w d. 16-ym maja. — Ogólne zebranie Towarzystwa ratowania tonących odbyło się dnia 8 b. m. — Miesięczne zebranie Towarzystwa wioślarskiego odbyło się d. 8 b. m. przy udziale 126-iu członków.

Szkoły i oświata. *Birż. wied.* donoszą, iż budowa gmachu dla instytutu lekarskiego dla kobiet w Petersburgu, ukończona będzie na jesień r. b. Kursa lekarskie rozpoczęła się w roku szkolnym 1896/97. — Dwuletnie kursa handlowe dla kobiet pod kierunkiem p. Józefy Siemiradzkiej pozostawać będą pod zwierzchnią władzą ministerjum finansów. Program wykładów następujący: języki nowożytne, rachunkowość i korespondencja handlowa w 4-ch językach, geografia handlowa, towaroznawstwo i chemja w zakresie elementarnym, prawo handlowe i wekslowe, ekonomja polityczna, kaligrafja i stenografja. Kandydatki przyjmowane być mają z kwalifikacją z 4-ch klas zakładów naukowych rządowych lub prywatnych, w braku zaś rzeczzonej kwalifikacji wymagany będzie egzamin wstępny z języków: rosyjskiego, polskiego, francuskiego i niemieckiego, a nadto z arytmetyki i geografji. Zapis zacznie się w końcu sierpnia, poczem niezwłocznie otworzone będą wykłady. Wpis rs. 100, płatny w dwóch ratach półrocznych po rs. 50.

Nekrologja. Krzywołocka Joanna, nauczycielka, była przetożona znakomitej pensji żeńskiej w Warszawie, zmarła w Moskwie, w wieku lat 60. — Natanson Ludwik dr. med., zasłużony na polu działalności społecznej i filantropijnej, zmarł w Warszawie w wieku lat 74. — Scheller Aleksander, dentysta, autor kilku oryginalnych rozpraw z dziedziny dentystyki, zmarł w Warszawie w wieku lat 49. — Simon Juljusz, francuski mąż stanu, filozof i moralista zmarł w Paryżu. — Rossi Ernest, tragic europejskiej sławy, zmarł w Pes-

saro (we Włoszech) w wieku lat 67. — Daubrée Gabriel August, geolog, znakomity uczony francuski, zmarł w Paryżu w wieku lat 82.

KRONIKA EKONOMICZNA.

— Ministerjum spraw wewnętrznych z powodu niskiego stanu cen zboża powstrzymuje się ze sprzedażą zapasów, nagromadzonych ze zwrotów pożyczek prowiantowych. Z ogólnej ilości 1 mil. pud. zboża sprzedano dotychczas tylko 300.000 pudów. Na angielskich rynkach zbożowych ceny wszystkich gatunków pszenicy spadły o 2 szyl., inne gatunki zboża spadły o 1 szyl. Podług nadesłanych do ministerjum raportów gubernjalnych nieurodzaj zboża w Rosji nigdzie nie jest przewidywany. Z Odessy donoszą o obniżaniu się cen zboża, jakiego dawno nie było.

— Pod uprawę buraków cukrowych zajęto w Niemczech 125.000 hektarów więcej, aniżeli w 1895 r. W W. ks. Poznańskiem wzmożła się uprawa buraków o 12.72%.

— „Warsz. Dniew.” donosi, że ministerjum rolnictwa wysłało w tych dniach urzędników do szczególnych poruczeń na południe Rosji dla zbadania obecnego stanu kolonji rolnych żydowskich.

— Wobec zbliżającego się terminu targu na wełnę donoszą z Poznania o licznych transakcjach. Najwięcej partji sprzedano do Berlina po cenach zeszłorocznych. Niektóre partje zakontraktowano o 5% wyżej.

— Przy departamencie handlu i przemysłu tworzy się komisja dla szczegółowego opracowania projektu instytucji przysięgłych buchalterów w Rosji mającej na celu współdziałanie racjonalnemu urządzaniu i prowadzeniu rachunkowości, rewizji oraz kontroli w zakładach handlowo-przemysłowych, a także regulowanie praw i obowiązków personelu buchalteryjnego względem pracodawców.

— Towarzystwo przemysłowe Lilpop, Rau i Loewenstein (fabryka machin i wagonów towarowych), którego akcje w czasach ostatnich były przedmiotem ożywionej gry giełdowej, wyznaczyło za rok ubiegły 17 1/4% dywidendy. Wyprodukowano towarów w okresie sprawozdawczym na sumę około 3 1/2 mil. rubli. Zysk czysty wyniósł przeszło 1/2 mil. rub. Cena akcji na giełdzie warszawskiej 2.520 rs. za tysiąc.

Tow. zakładów górniczych w Starchowicach przyniosło zysku w 1895 roku 194.000 rub., wydzielwszy 10% dywidendy.

— Założony przez okolicznych obywateli sklep rolniczy w Krośniewicach (pow. Kutnowski) miał w drugim roku swego istnienia około 27.000 rubli obrotu, wykazawszy zysk brutto 4.000 rub. Zysk do udziału między uczestników wyniósł 644 ruble.

S. K.

Treść numeru: W sieci, p. D. S. — Czem jest wychowanie ze stanowiska wiedzy społecznej (dokoń.), p. Stanisława Karłowicza. — Powieści wiejskie Sewera, p. Wł. Jabłonowskiego. — Kronika literacka i artystyczna, p. MK. — Błędy językowe. — Na widowni, p. Jana Weznakiego. — Głosy. — Wystawa higieniczna II, p. B. Koskowskiego. — Podatek od wina, p. W. Grabowskiego. — Odezwa w kwestji statystyki studjów kobiecych. — Z obcego świata. Przegląd polityczny, p. Wł. — Z różnych stron: korespondencje z pow. Łaskiego, Radomia; z zagranicy: ze Lwowa. — Kronika powszechna. — Kronika ekonomiczna. — W odcinku: Noc (dokoń.), p. Wacława Racyńskiego. — Odpowiedzi od redakcji (na okładce).

Redaktor i wydawca Tadeusz Strzembosz.

Дозволено цензурою, Варшава, 3. мая 1896 г. — W drukarni F. Csernak, Krakowskie-Przedmieście 6.